

W numerze: ANDRZEJ GRUN *Kilka słów o plastykach* ● KONRAD FREJDlich *Wizytówki i dokonania* ● TERESA WOJCIECHOWSKA *Don Kichot z Broadwayu* ● JANUSZ SKOSZKIEWICZ *Rozmowa z córką* ● *Recenzje* ● *Felietony* ● *Zeszedł o wszystkim* ● *Nowela kryminalna*



17 (753)
23. IV. 1972 r.
Cena 1.50 zł

Odrodzenie

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV

ANDRZEJ HAMPEL

DZIAŁANIE DLA PRZYSZŁOŚCI

Obowiązkiem członka Związku jest
— sumiennie wywiązywać się z przyjętych na siebie obowiązków zawodowych, doskonalić swoje kwalifikacje;
— stale uzupełniać swoją wiedzę, poznawać naukę marksizmu-leninizmu.

(ZE „STATUTU ZMS”)

8 i 9 kwietnia, ponad stu delegatów, reprezentujących niemal 43-tysięczną organizację Związku Młodzieży Socjalistycznej w Łodzi, obradowało na IX Łódzkiej Konferencji ZMS. Uczestniczyli w niej również: I sekretarz KL PZPR — B. Koperski, przedstawiciele władz miejskich, ZG ZMS i bratnich organizacji młodzieżowych.

Głównym zadaniem Związku Młodzieży Socjalistycznej, organizacji młodzieżowej, działającej pod ideowym i politycznym kierownictwem Partii, jest działalność ideowo-wychowawcza. Prowadzi ją Związek w ramach zebrań szkoleniowych kół, wszechnic społeczno-politycznych, wieczorowych szkół aktywu, studenckich ośrodków dyskusyjnych oraz poprzez szkolenie partyjne w różnych środowiskach młodzieżowych.

W Łodzi, w ZMS działa 42.757 zetemesowców, w tym 23.880 osób w środowisku robotniczym, 15.742 członków — to młodzież szkolna, 3.135 — to studenci. Dla nich łódzka organizacja ZMS programuje działalność pięciu domów kultury, 30 klubów, 2 kin, 3 amatorskich zespołów teatralnych, 5 galerii plastycznych w klubach. Poważną rolę w realizowaniu zadań programowych organizacji spełnia Uniwersytet Robotniczy ZMS, placówka oświatowa, która przygotowuje do zawodu, do podjęcia nauki w szkole średniej i wyższej, szkoli junaków Ochotniczych Hufców Pracy, organizuje odczyty, prelekcje, sympozja itp.

Dalszy ciąg na str. 3



Fot. W. Parys

ANDRZEJ MAKOWIECKI

DAJCIE METRO!

Tramwaje są najtańszymi i równocześnie najpopularniejszym środkiem komunikacji miejskiej. W Łodzi te czerwone, zdekolowane, roztrzęsione i hałaśliwe, o nie domykających albo zacinających się drzwiach, zimą niedograne, a latem — duszne pudła

z trudem przeciskają się ciasną gardzielią ulic po najważniejszych torach w kraju.

To fakt, że w godzinach szczytu Warszawa i Kraków także jeżdżą na buforach, ale jeśli chcesz wiedzieć, jak wygląda prawdziwy tłok, musisz stanąć o siódmej ra-

no na rogu Andrzeja i Kościuszki, lub o piętnastej dwadzieścia poobserwować sobie trochę plac Niepodległości, którego nazwa w tym czasie rzeczywiście przywołuje na myśl rozpaczliwą walkę człowieka o swobody osobiste.

No, ale do pracy i do domu — choć z jednej strony grozi to nagana od szefa, a z drugiej awanturą od żony — można się ostatecznie spóźnić. Tragedia zaczyna się dopiero wtedy, gdy ktoś nieobeznany, posiadający, na przykład, bilet z miejscówką na pociąg pośpieszny do Gdyni (15.58), przytoczy się w niedzielę z dwiema ciężkimi walizkami na jeden ze śródmiejskich przystanków i spróbuje wtargnąć do tramwaju podążającego ospale w kierunku dworca Kaliskiego, obok którego, na stadionie LKS, ma rozpocząć się za chwilę jakiś ważny mecz. W nieprzebranym tłumie kibiców — człowiek ten momentalnie dostaje kota. Zaczyna miotać się, bluźnić

i modłać na zmianę, a widząc beznadziejność swoich wysiłków, leci czym prędzej na postój taksówek, tu jednakże czeka go sroga odprawa — raz, że takich jak on jest więcej, dwa — że nie ma taksówek, trzy — że nawet jak coś podjedzie, to kierowcy — i słusznie! — odmawiają kursu w stronę dworca, mając przed oczami wizję zatłoczonej, całkowicie zatarasowanej już na kilkaset metrów przed mostem kolejowym drogi, z której prawie nie sposób zawrócić.

Takich newralgicznych punktów i pór jest w Łodzi znacznie więcej. W związku z tym nawet najbardziej pobłażliwy, patrzący na świat przez różowe okulary obywatel, skazany na nieprzerwany flirt z łódzką komunikacją tramwajową (i autobusową!) wpada w stan silnego rozdrażnienia i nie potrafi o niej, mimo najszczerzych wysiłków woli, powiedzieć nic dobrego.

A przecież, żeby oddać sprawiedliwość tramwajarzom, od razu trzeba powiedzieć, że ich praca — mam na myśli KONDUKTORÓW i MOTORNICZYCH! — jest trudna i że wywiązują się z niej bez zarzutu. Podobnie jak tkacze przy krosnach — ludzie w czarnych uniformach nie mogą sobie pozwolić na piwo przy kiosku, czy półgodzinne wyjście z roboty. Są permanentnie gotowi: w nocy, w niedzielę, w najważniejsze święta.

Ponieważ nie posiadam ani dwóch, ani czterech kółek, moje długoletnie doświadczenia tramwajowe można śmiało uznać za bogate, lecz dopiero teraz, zbierając na wielu różnych liniach materiał do niniejszego reportażu, zdałem sobie nagłe sprawę, że nigdy nie widziałem pijanego mo-

Dalszy ciąg na str. 5



Zewsząd o wszystkim

Naród - bohater

„VIE OUVRIERE” — PARYŻ

1.

Jeśli się ktoś znajdzie w Hanoi, a dysponuje zaledwie jednym lub dwoma dniami, odradzam mu dalszą podróż po kraju, choć teraz jest tam względnie spokojnie. Po prostu w przeciągu tak krótkiego czasu nie sposób zorientować się w sytuacji w Wietnamie. Rzeczywistość jest bardzo złożona i zróżnicowana.

Oglądając stare dzielnice Hanoi, cudzoziemiec zwróci uwagę na długie rzędy sklepów, zawałonych towarami. Wraz z tłumem spacerujących może pójść do parku, by obejrzeć przedstawienia teatralne pod gołym niebem, popatrzeć na grających w szachy, lub piłkę, poznać piękny ogród botaniczny. Być może, opowie mu ktoś historię słonia o imieniu „Bohater”, który podczas bitwy pod Dien Bien Phu przeniósł sprzęt wojskowy, a teraz spokojnie dożywa swych lat.

Gdy miasto ogarnia przedwiozorny chłód, przyjemnie jest spacerować brzegiem czarującego jeziora, gdzie na małej wysepce pięć pięknosci, a wokół, na laweczkach, siedzą zakochane pary.

Chodząc ulicami Hanoi odnosi się wrażenie, że nie ma wojny, że w Wietnamie panuje pokój. Mieszkańcy miasta rozjeżdżają na rowerach i spokojnie załatwiają swoje sprawy. A przecież krwawa wojna toczy się nadal.

Teraz wie już cały świat o betonowanych schronach, wydrążonych w trutuarach, w których kryją się przechodnie na dźwięk syreny alarmowej. W Hanoi jest ich całe mnóstwo, podobnie zresztą jak i w innych miastach Północnego Wietnamu. Dba się o nie ze szczególną troskliwością. Jest to zrozumiałe, jeśli zważyć, że amerykański samolot, startujący z bazy w Syjamie, potrzebuje zaledwie trzech minut, by znaleźć się nad Hanoi. Wietnamczycy mówią, że po Stanach Zjednoczonych można się spodziewać wszystkiego, i zaraz dodają przysłówie: „zraniony tygrys jest bardziej groźny, niż nie trafiony”.

Pojedźmy dwieście kilometrów na południe od Hanoi — do Thanh Hoa, największego miasta w prowincji o tej samej nazwie. Gdy tam byłem, ogłoszono właśnie stan zagrożenia: okret VII floty amerykańskiej zbliżyły się do Wybrzeża. Gdyby mi o tym nie powiedziano, nie zauważyłbym niczego. Podczas pracy na polach ryżowych chłopcy śpiewali, ale obsługom baterii przeciwlotniczych rozkazano zająć stanowiska bojowe. A jeśli pojechać jeszcze kilkadziesiąt kilometrów na południe, widać już prawdziwą wojnę. Przede wszystkim Winh, miasto z dwudziestoma tysiącami mieszkańców. Zburzone do fundamentów, ale mimo to, do dziś bombardowane nie-miłosiernie. Dziesiątki, setki kilometrów, aż do linii demarkacyjnej nic, tylko grunty i leje od bomb. Z południowych rejonów Republiki ewakuowano nieomal całą ludność. Opowiadano mi o dzieciach z Winh, które dwa lata temu przyszły na świat w podziemnym schronie przeciwlotniczym i jeszcze ani razu nie ujrzały słonecznego światła...

2.

Wojna toczy się nadal, co by tam nie mówił Nixon. Co więcej, staje się coraz bardziej zacięta, coraz bardziej barbarzyńska. Złowię-

sze bomby kulkowe wydają się być niewinne w porównaniu z obecną bombą rozpryskową, wypełnioną gwoździami długości ponad pięćdziesiąt centymetrów, lub obrzawkami z żelaza szczególnego kształtu by mocniej rwały ludzkie ciało. Nadal spadają bomby napalmowe i fosforowe. Widziałem skórę kobiety oparzonej fosforem: strzęp skóry trzymany w hermetycznie zamkniętym naczyniu, która zaczyna dyć przy zetknięciu z powietrzem... Co się tyczy bomb kruszących, to ich rekordowa waga sięga już siedmiu ton. Jej wybuch pozostawia potworną wyrwę o średnicy trzydziestu metrów. Są to najpotężniejsze bomby, jakich kiedykolwiek używano. Ustupują tylko bombie atomowej.

Od roku 1965 do roku 1969 Amerykanie zrzucili na Wietnam miliony ton bomb, 4 i pół raza więcej, niż zrzuceno ich na Europę podczas drugiej wojny światowej i 14 razy więcej, niż podczas wojny koreańskiej. W pewnej komunie zrzucono trzy tysiące bomb na każdy kilometr kwadratowy. Na zakłady włókiennicze w Nam Dinh, które oglądałem, zrzuceno tyle bomb, że na każdego włókniarza przypada po jednej. Staje się zrozumiałe, dlaczego Wietnamczycy, nawet tam, gdzie teraz nie ma wojny, żyją, jak na wojnie. Dziewczeta w zakładach włókienniczych w Nam Dinh, przed północą do pracy, uczą się obchodzenia z bronią. Na ulicach widać samochody terenowe, zamaskowane gąsienicami i listowiem. W osadzie wiejskiej grupa chłopów uczy się obsługi dział przeciwlotniczych, które dopiero co przywieziono. Widziałem to w komunie Hao Long, w pobliżu Thanh Hoa i w wielu innych.

3.

W nieustannej gotowości bojowej znajduje się cały kraj. Samolot amerykański potrzebuje trzech minut, by pojawić się na niebie Północnego Wietnamu. Ale to wystarczy, żeby spokojni rolnicy, zapracowani metalowcy, utrudzone tkaczki, słowem wszyscy — przekształcili się w męcznych żołnierzy. Na sygnał alarmu, grupy obrony cywilnej stają natychmiast u boku obsługi dział przeciwlotniczych.

W fabryce włókienniczej nr 10, na przedmieściu Hanoi, na dwa tysiące zatrudnionych (75 procent kobiet) jest siedmiuset strzelców wyborowych. W porcie Hajfong, do grup samoobrony należą co drugi pracownik portu. W zakładach pończosznicych w Hanoi, na sześciuset pracowników (80 procent kobiet) jest aż dwustu dwudziestu strzelców wyborowych.

Sluchając tych ludzi, próbowałem wyobrazić sobie Wietnamczyka w moim wieku. Przeciętnego, trzydziestoletniego mieszkańca Hanoi. Trzydzieści lat — to akurat okres trwania wojny w Wietnamie. Taki człowiek nigdy nie zaznał dobrodziejstwa pokoju. W tej chwili wypełnia on z pewnością jedną ze swych niebezpiecznych misji, które są dla niego sprawą zwykłą, codzienną. Powiedzmy, że jest on jednym z tych, którzy pomagają bojownikom Południowego Wietnamu. Z plecakiem, w którym dźwiga 25 kilogramów ryżu, przejdzie 1000—1500 kilometrów, aż do miejsca przeznaczenia i tyleż samo z powrotem. Najczęściej musi pokonać tę przestrzeń pie-

szko. Musi iść pod bombami. Uplynie nie jeden tydzień, nim osiągnie cel swojej wędrówki. Ale sam też musi coś jeść, więc zje w tym czasie 17—18 kilogramów ryżu, który niesie w plecaku. By więc dostawić na Południe 7—8 kilogramów ryżu, musi narażać swe życie na śmiertelne niebezpieczeństwo. To jest właśnie ta wojna...

Wynika z tego, że Północny Wietnam pomaga Południowemu? — zapyta czytelnik. Żeby odpowiedzieć na to pytanie, przytoczę słowa towarzysza Thao z Kuang Nam, zastępcy dyrektora farmy państwowej w prowincji Thanh Hoa. Farmę założyli bojownicy z południa, którzy przesiedlili się na północ na mocy porozumienia genewskiego z 1954 roku. Uzbrojeni w łopaty i motyki zaatakowali dżunglę i na powierzchni 77 kilometrów kwadratowych przemienili ją w kwitnące plantacje drzewa kauczukowego, kawy i owoców cytrusowych. „Wkrótce minie już dwadzieścia lat, jak nie widziałem mojej rodziny. Cztery miesiące temu otrzymałem o niej wiadomość. Dowiedziałem się, że rodzina mego brata znajduje się w „strategicznej wiosce”. Komendant obozu za prze-komandant mego brata, więc ulokował jego rodzinę w pobliżu zasieków z drutu kolczastego i powiedział: „Jeżeli Narodowy Front Wyzwolenia zaatakuje oboz — wy zginiecie jako jedni z pierwszych...”. Kiedy myślę o tym wszystkim, to mówię sobie, że powinienem pracować ze wszystkich sił, by przybliżyć czas zwycięstwa, czas pokoju”.

Te proste słowa Thao mówią więcej, niż kwieciste przemówienia: jest tylko jeden Wietnam. Dziesiątki, setki tysięcy bojowników o niepodległość w rodzaju Thao, przesiedliło się na Północ w 1954 roku. Porozumienie genewskie obiecywało im zjednoczenie kraju po nieskrepowanych wyborach na Południu w 1956 roku. Nie odbyły się te wybory. Eisenhower wyjaśnił, dlaczego: „W wyborach wygrałby komunizm...”. Tak, Północ pomaga Południu, podobnie, jak parzyżanie pomagali Marsylii podczas naszego ruchu oporu przeciwko Niemcom.

4.

W każdej rodzinie, ktoś — ojciec czy syn — walczy na froncie. Lub poległ. W spółdzielni rolniczej „Ten Tsunen”, w pobliżu Hanoi, dwie trzecie zatrudnionych stanowia kobiety. Wykonują swoją pracę na roli, dbają o liczne rodziny — biorąc w dodatku na wychowanie dzieci z rejonów ewakuowanych — i zawsze są gotowe do chwycenia za karabin. W DRW mówi się, że są to „trzy prawa kobiety”.

Położenie jest trudne. Amerykanie próbowali bombardowaniem wytoczyć z kraju całą krew. Fabryki i inne zakłady pracy w DRW przedstawiają obraz zgoła niecodzienny. Z niektórych pozostały tylko szkielety. Inne cudem ocalały, jak na przykład elektrownia nie opodal mostu Ham Djong. Wiele innych elektrowni ocalało tylko dzięki temu, że robotnicy obudowali je murami ochronnymi z cegły, grubymi na metr. Niektóre były zamaskowane gąsienicami i listowiem. Ogólnie rzecz biorąc, produkcja przemysłowa, która wzrosła nieomal w dwójnasób w latach 1960—1964, utrzymała się na tym poziomie również w roku 1969.

Niemal wszystkie mosty w DRW były bombardowane. Drogi zryte lejami. Na domiar złego w lecie ub. roku DRW nawiedziła powódź, jakiej nie pamiętano od stu lat. Blisko trzecia część zbiorów uległa zniszczeniu. W obliczu groźby klęski całe — dosłownie całe — społeczeństwo stanęło do walki z żywiołem, budując rozległe tamy. W Ha-

noi, który zabezpieczono przed wylewem Rzeki Czerwonej, sytuacja była bardzo ciężka: poziom wody podniósł się po pięćdziesiąt centymetrów dziennie. Wszyscy — od dzieci do starców — łopatami, kilofami, a nawet gołymi rękami kopali ziemię i syпали tamy. Nawet w dniu, w którym woda podniosła się aż do poziomu tych zapór wodnych i fala powodziowa mogła za moment zmieść wszystkich — nikt nie opuścił swego stanowiska...

Ta gigantyczna praca pod bombami jest dowodem niesłychanego męstwa klasy robotniczej DRW.

W porcie Hajfong specjalne grupy samoobrony unieszkodliwiała bomby z opóźnionym zapłonem, zrzucone na port, inne utrzymywały w stanie użyteczności pływający dźwig itp. Należy też oddać sprawiedliwość dziewczętom z Nam Dinh. Pod gradem bomb jeździły na rowerach po mieście i okolicznych wsiach, do których ewakuowano dzieci i starców, dowożąc produkty żywnościowe i odzież. Ich koleżanki roznosili posiłki żołnierzom i oddziałom obrony cywilnej. Nieduży zakład budowy maszyn w Thanh Hoa mieści się w pieczarze, wydrążonej przez samych robotników. Tam właśnie usłyszałem najpiękniejsze pieśni i wiele szczerego śmiechu.

W takich warunkach żyją i pracują Wietnamczycy. Ich praca w fabrykach, na roli, w biurach jest codzienną, bohaterską walką.

W wietnamskiej „kotłowni” Hong Gai, wydobyto w ubiegłym roku ponad pięć milionów ton węgla. W Hajfongu zburzona bombami cementownia osiągnęła już poziom swej mocy produkcyjnej i powiększy ją niebawem. W zakładach mechanicznych w Hanoi produkcja zwiększa się o 50 procent rocznie.

5.

W DRW nie zapomina się i o potrzebach społecznych. Jedną z największych trosk związków zawodowych jest higiena i bezpieczeństwo pracy. Działła odpowiedni instytut, kierujący pracą federacji związków zawodowych. Ogromną wagę przywiązuje się do spraw oświaty. W spółdzielni rolniczej w pobliżu granicy chińskiej, dwadzieścia lat temu było 90 procent analfabetów. Dziś nie ma tam ani jednej dorosłej osoby, która by nie umiała czytać i pisać. W prowincji Cao Bang, gdzie znajduje się ta spółdzielnia, były zaledwie trzy szkoły podstawowe na 350 tysięcy mieszkańców. Teraz każda wieś ma swoją szkołę podstawową, a jedna szkoła średnia przypada na dwie — trzy wsie. W instytucie politechnicznym w Hanoi studiuje sześć tysięcy studentów plus dwanaście tysięcy studium zao-czynnego. Wszyscy otrzymują stypendia i pomoce naukowe.

Gigantyczny wysiłek skierowano na ochronę zdrowia. Ruchome brigady sanitarne prowadzą nieustanne szczenienia ochronne, nawet w najbardziej oddalonych wsiach i osadach. Epidemie, nekające nigdyś ten kraj zlikwidowano zupełnie.

W pobliżu Thanh Hoa, o dwa kroki od przepięknej plaży Samson, oglądałem związkowy dom wypoczynkowy. Został całkowicie zniszczony ogniem artylerii amerykańskich okrętów. Odbudowano go w rekordowym tempie. „Możemy tutaj przyjmować dwadzieścia tysięcy wczasowiczów rocznie — powiedział mi dyrektor. — Nie można przecież odłożyć troski o zdrowie ludzi pracy, aż do zakończenia wojny...”

Naród wietnamski, Naród — Bohater, nie tylko walczy o swą niepodległość, lecz także mobilizuje wszystkie siły do wszechstronnego rozwoju swojej ojczyzny, Wietnamu, w zwycięstwo.

Na scenie europejskiej nadal uwagę zwraca batalia, jaka toczy się w NRF o ratyfikowanie układów ze Związkiem Radzieckim i Polską.

Na jej tle szczególne znaczenie ma debata polaczonych komisji spraw zagranicznych obu izb Rady Najwyższej ZSRR. Przemówienie min. A. Gromyki, jego odpowiedzi na pytania deputowanych oraz dyskusja na temat problemów europejskich — nie pozostawiają wątpliwości, że ratyfikacja układów może mieć decydujące znaczenie dla przyszłości Europy. Jeśli ona nastąpi — rozpocznie się proces normalizacji stosunków z krajami socjalistycznymi, a ten oznacza dwustronne, wzajemne korzyści, jeśli to nie nastąpi — stosunki radziecko-zachodnoniemieckie zostaną cofnięte, powstaną przeszkody na drodze uregulowania stosunków NRF — NRD, a porozumienia berlińskie mogą być unicestwione. Chociaż bowiem — jak wyjaśnił to min. Gromyko — między układem moskiewskim a porozumieniem berlińskim nie ma powiązań prawnych, jednak może ono być realizowane tylko w atmosferze odprężenia i nabrać mocy prawnej łącznie z układem.

W ten sposób min. Gromyko postawił przysłowiową kropkę nad „i”.

„Związek Radziecki — stwierdził — nie zamierza nikogo straszyć. NRF powinna sama zdecydować, czego chce. Stoi ona obecnie przed wyborem między przyjaźnią a wrogością ze Związkiem Radzieckim, z naszym narodem. Nie będzie stosunków przyjaznych i dobrosąsiedzkich, jeśli w NRF nie zechcą wykazać niezbędnego zrozumienia interesów Związku Radzieckiego, tego ich minimum, które znalazło wyraz w układzie moskiewskim”.

Często siły opozycyjne nastawione wobec polityki wschodniej Brandta twierdzą, że również one dążą do układu z ZSRR, ale że podpisany już tekst wymaga zmian i uzupełnień.

O tym, że nie ma ewentualności ponownych negocjacji mówili już Leonid Breżniew i Edward Gierek. Podjął tę kwestię jeszcze raz radziecki minister, stwierdzając m. in.:

„Układ to dokument międzypaństwowy, a nie coś, co można latać i przerabiać na życzenie każdego, kto tego zechce”.

Podpisany i czekający na ratyfikację układ wyraża równowagę interesów stron. Każde „poprawienie” tekstu, do czego dążą jego przeciwnicy w NRF, mogłoby tylko naruszyć wynegocjowaną równowagę, a więc praktycznie zniszczyć go.

Tymczasem układ może otworzyć możliwości współpracy w wielu dziedzinach. Oba kraje należą do wysoko rozwiniętych i uprzemysłowionych. Z zespolenia ich wysiłków mogą wynikać istotne korzyści dla obu krajów, ale i dla innych państw europejskich. Chodzi tu zwłaszcza o długofalowe plany wymiany towarowej, rozwoju kooperacji produkcyjnej, ewentualny udział firm zachodnoniemieckich w eksploatacji złóż użytecznych kopalni, wymianę osiągnięć naukowo-technicznych...

Z ducha układu, jego konkretnych postanowień i praktyki okresu półtorarocznego, jaki minął od złożenia pod nim podpisów, zrodziły się tendencje odprężeniowe, nie będące tylko czymś koniunkturalnym. Jest to miara wartości układów moskiewskiego i warszawskiego i ich historycznego znaczenia. Czy ktokolwiek rozsądny chciałby to zaprzęścić?

Przemówienie min. Gromyki znalazło szeroki rezonans w całej Europie, a londyński „Times” pisał o nim, jako o ostrzeżeniu pod adresem opozycji i deklaracji zamiarów radzieckich w każdej z dwóch ewentualności: jeśli układ zostanie przyjęty i jeśli w Bundestagu przepadnie. Agencja Reutersa natomiast podkreśla, że niezwykła „publicytność” posiedzenia radzieckich gremiów parlamentarnych wskazuje, iż Związek Radziecki chciał przekazać swe pełne stanowisko w sprawie ratyfikacji.

W Bonn tymczasem nasila się konflikt między rządem, a opozycją. Spotkanie Brandta z Barzelem w ub. tygodniu spowodowało nie osłabienie, lecz wzmocnienie walki. Jak się wydaje, przywódca opozycji wyraźnie prowokuje bezpośrednią konfrontację z koalicją rządową. Jego zdaniem — a jest interesujące, że je tak bezpośrednio wypowiedział — odrzucenie układów przez Bundestag nie spowodowałoby izolacji NRF, ani europejskiej katastrofy.

Z tym poglądem polemizował kanclerz Brandt, który otwarcie powiedział, że fiasko układów doprowadziłoby nie tylko do cofnięcia stosunków Wschód — Zachód, lecz także Zachód — Zachód i skomplikowało znacznie politykę Bonn wobec krajów EWG. W interesie samej więc NRF leży ich ratyfikowanie.

★ ☆ ★

Z innych aktualności pozostaje już tylko miejsce na odnotowanie wizyty w Warszawie duńskiego ministra spraw zagranicznych — K. B. Andersena, który przybył do naszego kraju na zaproszenie min. S. Olszowskiego.

Polsko-duńskie rozmowy zakończyły się opublikowaniem wspólnego komunikatu. Potwierdza on dobrosąsiedzkie stosunki między naszymi krajami, zapowiada ich rozszerzenie oraz daje wyraz zgodnych lub zbliżonych poglądów Polski i Danii na rolę układów z NRF, porozumienia berlińskiego i znaczenie europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy.

Komunikat podkreśla ponadto konieczność prowadzenia dalszych konsultacji i rozmów na temat pokojowej współpracy w rejonie Morza Bałtyckiego z uwzględnieniem problematyki ochrony środowiska ludzkiego. Polska i Dania są gotowe do rozpoczęcia rokowań przygotowawczych, zmierzających do podpisania konwencji w sprawie rybołówstwa i ochrony zasobów rybnych na Bałtyku.

W. SŁAWSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

Wiele uwagi w pracy Związku poświęca się społeczno-politycznej aktywizacji młodzieży, podnoszeniu jej wiedzy i kwalifikacji zawodowych, jako że członek ZMS musi być świadom celów i zadań stojących przed całym społeczeństwem i naszym miastem. Postanowiono więc zapoznać wszystkich członków organizacji z planem rozwoju gospodarczego i społecznego kraju w latach 1971—1975, z prognozą rozwoju Polski do roku 2000 oraz z programem rozwoju i modernizacji Łodzi w okresie 1971—1975 i na dalsze lata.

Wiele miejsca w czasie obrad plenarnych Konferencji i w dyskusji poświęcono działalności ekonomiczno-produkcyjnej w wielu zespołach roboczych, jest bowiem Związek przede wszystkim organizacją o charakterze robotniczym.

Długa tradycja ma już w kraju współzawodnictwo o tytuł Brygady Pracy Socjalistycznej ZMS. W 1958 roku w Kaletniańskich Zakładach Przemysłu Papierniczego nadano pierwszy w Polsce tytuł BPS. Dziś, w samej tylko Łodzi, pracuje 1401 Brygad, a dalsze 1495 ubiega się o ten zaszczytny tytuł. Podkreślając ten fakt, nie można jednak pominąć pewnych negatywnych zjawisk, które wystąpiły w toku współzawodnictwa. Po pierwsze, niekorzystnie zaciążyło, tu i ówdzie, na współzawodnictwie forsowanie czynników ilościowych i tworzenie Brygad, które faktycznie odbiegały od kryteriów wymaganych regulaminem, umożliwiały natomiast wykazanie tzw. wzrostu, po drugie — rozwijano niekiedy współzawodnictwo na łatwiejszych, zamiast na najtrudniejszych odcinkach produkcji.

Uczestnicy IX Konferencji zgodnie podkreślali, że w ocenie współzawodnictwa trzeba w sposób wyraźny podnieść

rangę kryteriów jakościowych, że tytuł BPS może otrzymać ten zespół, który istotnie pracuje bezbłędnie na powierzonym mu odcinku pracy. Postanowiono więc, kontynuując ruch BPS, włączyć młodzież w proces powszechnego współzawodnictwa o tytuł „Młodzież dla postępu”, w którym każdy członek ZMS powinien podjąć zadania, wynikające z potrzeb zakładu i własnych możliwości. Łódzka organizacja ZMS będzie również realizować inicja-

DZIAŁANIE DLA PRZYSZŁOŚCI

tywy produkcyjne poprzez skracanie czasu wykonywanych zadań w myśl rzuconego hasła „Plan dekady w 9 dni”, zwiększenie produkcji artykułów rynkowych i eksportowych, które będą rejestrowane w Młodzieżowym Banku Materiałów. Postanowiono także, że członkowie Związku włączą się aktywnie do realizacji Programu Rozwoju i Modernizacji Łodzi, m. in. wydajną i dobrą produkcją w obiektach, realizowanych w ramach Programu.

Od dłuższego czasu głośna jest także w kraju akcja patronatów ZMS nad budownictwem mieszkaniowym. Przechodzi ona różne koleje losu, także w Łodzi, nie zawsze organizacja może wywalczyć za siebie tytuł, nie zawsze w tym względzie. Potrzeba tu bowiem lepszej organizacji samego przedsięwzięcia, jak i więcej dobrej wo-

li ze strony przedsiębiorstw budowlanych. Postanowiono więc, że w najbliższych latach działania łódzkiej organizacji ZMS winny zmierzać do podniesienia rangi zawodu budowlanego, zwiększenia zaangażowania produkcyjnego młodzieży, ułatwienia młodzieży uzyskania własnego mieszkania. Projektuje się w najbliższej przyszłości ustalenie, z kompetentnymi instytucjami, lokalizacji na budownictwo jedno- i wielorodzinne dla członków Związku, rozpowszechnienie inicjatywy budowy przez brygady młodzieżowe obiektów towarzyszących (żłobki, przedszkola, pawilony usługowo-handlowe) w ramach planów przedsiębiorstw, by zwolnione moce przerobowe wykorzystano do wykonania ponadplanowych mieszkań dla uczestników patronatu, oraz rozwijanie formy zakładowego budownictwa mieszkaniowego systemem gospodarczym.

Trudno byłoby tu wymienić wszystkie problemy podnoszone w czasie dwudniowej Konferencji. Mówiono wiele o organizowaniu czasu wolnego młodzieży, wzmoczeniu pracy studenckich organizacji ZMS, działalności kulturalnej dla kształtowania postawy zetemesowca, człowieka nieobojętnego społecznie, świadomego patrioty, który przyjuje za generalne wytyczne działania ideologię komunistyczną. Człowieka zwalczającego wszystkie negatywne zjawiska występujące wokół niego.

Związek Młodzieży Socjalistycznej, nawiązując do tradycji KZMP, OM TUR, ZWM i ZMP, pracuje dziś dla przyszłości, a jego członkowie działają „aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej”.

ANDRZEJ HAMPEL

W związku z XIII Zjazdem Związku Polskich Artystów Plastyków, który obradował w Poznaniu w dniach od 5 do 8 kwietnia br., w samym śródmieściu i na łamach prasy toczą się burzliwe dyskusje nad sytuacją sztuki polskiej i sytuacją samych artystów w naszym społeczeństwie. Zostawmy na razie dociekania, dlaczego malarstwo, grafika i rzeźba polska jest taka jaka jest — to temat obszerny, wymagający osobnego studium. Zastanówmy się natomiast nad kilkoma problemami, które dla blisko 9-tysięcznej rzeszy artystów plastyków stanowią problemy węzłowe, decydujące o ich pozycji moralnej i materialnej. Najlepiej będzie, jeśli rozpatrywać je będziemy konkretnie w oparciu o środowisko łódzkie, bowiem w tym właśnie środowisku, trzecim co do wielkości w kraju, ujawniają się wszystkie te problemy ze szczególną wyrazistością. Wpływa na to, z jednej strony fakt istnienia dużej grupy twórców parających się tzw. „sztuką czystą”, grupy aktywnej, która na mapie artystycznej w kraju znacząca swą obecnością wyraźnym konturem, z drugiej zaś strony istnienie w Łodzi licznych zakładów przemysłu lekkiego i wynikające stąd problemy projektowania przemysłowego, ważne nie tylko dla ludzi, którzy opuścili i opuszczają mury łódzkiej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastykowskiej, ale i dla gospodarki w kraju i eksporcie.

Wielokrotnie podnoszono w Łodzi sprawę budowy galerii. De facto Biuro Wystaw Artystycznych i Związek dysponują dwoma lokalami wystawowymi o łącznej powierzchni 400 m kw., nie najlepiej przystosowanymi do celów ekspozycyjnych, bez odpowiedniego sprzętu i zaplecza. Dwa punkty wystawowe w mieście, w którym rocznie powstaje około 2500 obrazów, 1000 grafik i rysunków, około 50 rzeźb i 50 tkanin artystycznych — to już nie za mało, ale po prostu — nie. Biorąc pod uwagę fakt, iż w obu salonach wystawowych jednocześnie 120—130 prac, plastyki łódzcy zaprezentować mogą społeczeństwu zaledwie 30 proc. swojej aktualnej twórczości artystycznej. Wszystkie inne sporadyczne wystawy w domach kultury, klubach, świetlicach itp., już choćby z racji ograniczonego zasięgu oddziały-

wania nie ratują sprawy. Mamy więc do czynienia ze zwykłym marnotrawstwem ludzkiego wysiłku i dóbr kulturalnych. Czy stać nas na to?

A nie trzeba przecież dodawać, że brak sal wystawowych z prawdziwego zdarzenia uniemożliwia pokazanie w Łodzi szeregu wystaw ogólnopolskich i międzynarodowych, co z kolei zuboża wybitnie kulturę miasta, której poziom i tak pozostawia wiele do życzenia.

ANDRZEJ GRUN

Kilka słów o plastykach

Statutowym celem Związku Polskich Artystów Plastyków jest „kształtowanie kultury plastycznej w Polsce Ludowej”. Ale jak tu kształtować tę kulturę plastyczną w Polsce, kiedy na każdym kroku inicjatywy Związku napotyka się na mur obojętności, nieraz na wyraźną niechęć. Tak było na przykład z podjętą w 1965 roku przez łódzki Okręg Związku społeczną akcją „plastyka dla szkół”, którą nie zainteresowało się ani kuratorium, ani władze szkolne, ani wydział kultury. Tak jest z wszelkimi inicjatywami, podejmowanymi w celu podniesienia estetyki miasta. Plastyki nie współpracują przy opracowywaniu projektów urbanistyczno-architektonicznych, więcej, prace plastyczne uwzględniane w kosztorysach są z reguły skreślane w czasie realizacji poszczególnych obiektów, z braku funduszy. Efektem są monotonne, brzydkie osiedla i pozabawione wystroju plastycznego budynki, w których człowiek czuje się źle i obco. Wykluczenie plastyków przy kompleksowym kształtowaniu oblicza miasta może i przynosi oszczędności w dniu dzisiejszym, ale w bilansie dnia jutrzejszego oszczędności zmieniają się w pokazne, często nieodwracalne straty. Saldo okaże się ujemne, bowiem na kulturze nie można oszczędzać.

Jak do tej pory nie zostały rozwiązane należycie sprawy wzornictwa przemysłowego

nie tylko na terenie Łodzi, ale i w skali całego kraju. Obecna struktura organizacyjna wzornictwa przemysłowego, ustalona w latach 1947—1950 jest czystym anachronizmem, hamującym rozwój tego wzornictwa. Sytuacja plastyka zatrudnionego w przemyśle jest bardzo trudna, a zakres jego praw i obowiązków do końca nie sprecyzowany i ujednolicony. Plastyki przemysłowi są grupą zawodową, najniżej uposażoną ze wszystkich grup z

wyższym wykształceniem. Są zakłady, w których plastyk-projektantem nie przyznaje się premii, a nigdzie nie przynajmniej się im premii eksportowej. Warunki ich pracy są z reguły złe, a wyposażenie pracowni plastycznych najeźdźcą z epoki króla Cwieczka. Nie wszystkie zakłady respektują również uprawnienia plastyków do dni plenerowych i studyjnych. Nie ma też ochrony prawnej ich projektów. Wszelkie zmiany w kolorystyce, rysunku i kompozycji są dokonywane najeźdźcą bez uzgodnienia z autorem. Dodać trzeba, iż decyzje zmian wpływają od ludzi, których kompetencje w tym względzie są żadne. Skandalem są tzw. rekonstrukcje, czyli wzory kopiowane z produkcji firm zachodnich. W niektórych zakładach dochodzą one do 60—80 procent. Owe rekonstrukcje są niczym innym, jak zwykłym przywłaszczeniem cudzego pomysłu i grozić mogą poważnymi konsekwencjami. A poza tym proceder ten hamuje rozwój rodzimego wzornictwa, wprowadzając na rynek wzory obce naszym potrzebom i naszym tradycjom kulturalnym. Zabiegł te stwarzają jednocześnie możliwość zarobkowania ludziom nie posiadającym wykształcenia plastycznego. Ten drenaż funduszy odbija się na materialnej sytuacji projektantów. Nie uporządkowane sprawy wzor-

nicstwa przemysłowego, to sprawy konkretnych ludzi, ale i sprawy ekonomiki, kultury materialnej, kształtowania poziomu estetycznego konsumenta. Więc ważne, bo obok aspektów gospodarczych wchodzące w zakres szeroko pojętej problematyki estetycznego wychowania społeczeństwa.

Nie tylko projektanci przemysłowi znajdują się w sytuacji trudnej i wieloznacznej. Dotyczy to również scenografów teatralnych i filmowych, stojących wobec kurczenia się ilości etatów, pozbawionych prawnej ochrony swych projektów, borykających się z zacofaniem technicznym przy ich realizacji. Tytuł artysty, który jest grafików-użytkowców, których projekty przez niedomogi naszej poligrafii są realizowane w formie obniżającej ich poziom artystyczny. Wreszcie trzeba powiedzieć, iż sam cennik autorski za prace plastyczne jest przestarzały, jego stawki są grubo zaniżone. I tak sytuacja materialna twórców pozostawia wiele do życzenia. A przecież plastyki organizują wystawy swoich prac za własne pieniądze, po prostu w czynie społecznym. Sporadyczne zakupy dzieł sztuki nie zwracają im nawet kosztów użytego materiału. Plastyk też człowiek — jeść musi. Stąd chwytanie się każdej roboty, jaka się napotyka, każdej chałtury. Wpływa to, oczywiście, na poziom wykonywanych prac, ale jak widzieliśmy, nie można za to winić tylko plastyków. Jeżeli dodamy do tego jeszcze fakt, iż plastyki nie są objęci świadczeniami ZUS-u, że te 65 proc. członków Związku nie pracujących etatowo pozbawionych jest świadczeń socjalnych, funduszu wczasów itp., otrzymamy smutny obraz sytuacji plastyków. W ten sposób twórczość sztuki staje się jakimś aktem wręcz heroicznym, jest dowodem ogromnego samozaparcia i oczywiście odbija się na poziomie samej twórczości.

Dlatego trzeba stworzyć jak najszybciej klimat społecznej przydatności plastyka w naszym społeczeństwie. Rozwiązać sprawy bytowe i materialne. Zagwarantować należy plastykowi optymalne warunki pracy i egzystencji. Sprawy kultury bowiem są sprawami nas wszystkich.

Miasto, w którym przemieszkało się dwadzieścia dwa lata, przenika głęboko w życie człowieka. Można to miasto kochać, można je nienawidzić, ale nie można powiedzieć, że jest nam ono obojętne.

Do Łodzi przeniósł się w sierpniu 1950 roku z pięknej ziemi dołnośląskiej. Zamieniałem karkonoskie lasy i wzgórza na kamienny pejzaż miasta, które uchodzi za najbrzydsze w Europie. Ale ja nie widziałem tej brzydoty ani wówczas, gdym się do Łodzi sprowadził, ani teraz, kiedy ją opuszczam. Jeśli nie liczyć dwu tomów wierszy, wydanych zaraz po wojnie w Niemczech i „Opowieści o moim ojcu”, która narodziła się na Dolnym Śląsku, pozostałe książki (a będzie tego bez mała dwadzieścia pozycji) napisałem w ciągu dwudziestu dwu lat pobytu w Łodzi. W tym mieście stałem się redaktorem: najpierw „Łodzi Literackiej”, później „Kroniki” a wreszcie i „Odgłosów”. Tutaj przez jedenaście lat byłem kierownikiem literackim w Teatrze Nowym, przeżywając wielkie triumfy Kazimierza Dejmki jako inscenizatora „Nocy listopadowej”, „Żywotu Józefa” i „Historii o chwalebny młotem zmartwychwstaniu Pańskim”. Czyż więc mógłbym odnosić się z nienawiścią do miasta, które dało mi tak wiele?

Ala brak uczucia nienawiści nie oznacza, że mamy do czynienia z

uczuciem miłości. Powiedzieć o Łodzi, że się ją kocha, nie jest właściwym ujęciem sprawy. A jeżeli już, to dodajmy otwarcie, że jest to miłość trudna i nie zawsze odwzajemniona. Miasto, które ma do rozstrzygnięcia tyle ważnych problemów produkcyjnych, ekonomicznych, komunalnych, nie bywa nazbyt łaskawe dla sztuki i nie rozpieszcza znanostwo swoich artyst-

JAN KOPROWSKI

CHWILA REFLEKSJI

tów. I trzeba to rozumieć. A przecież wielu z tych, którzy kiedyś w Łodzi mieszkali, mówi o niej z czułości i z sentymentem. Adolf Rudnicki napisał gdzieś (czy nie w „Niebieskich kartkach”), że nigdzie nie pracowało mu się tak dobrze jak tutaj. Seweryna Szmalcówna, odpowiadając na jakąś ankietę, podała, że w Domu Literatów przy ulicy Mickiewicza (dawniej Bandurskiego) spędziła wiele pracowitych lat. Najpiękniejsze świadectwo o tym mieście pozostawił niezapomniany czarodziej sceny — Leon Schiller, wyznając,

że okres spędzony w Łodzi był najszczęśliwszym okresem jego życia. Prawda, nie brak i narzekania. Ale narzekania tych nie kieruje się pod adresem miasta, lecz do ludzi, którzy pisarzowi Z., reżyserowi K. i muzykowi M. dali się solidnie we znaki. Przeważają jednak wspomnienia ciepłe, pochwalne. Czy dlatego, że pisane po opuszczeniu Łodzi, z owej perspekty-

wy, która opromienia wszystko, co należy do bezpowrotnej przeszłości?

Ludziom, wracającym z obozów i tułaczki, Łódź dala pracę i dach nad głową. Cóż to była za radość, znaleźć się w mieście dużym, zupełnie niezniszczonym, chociaż po ulicach, cieszyć się życiem i spotykać znajomych, którzy podobnie jak my wyszli cało z epoki pieców. Pamiętam mój pierwszy spacer po Piotrkowskiej. Był sierpień. Przedtem widziałem zamienioną w gruzy Warszawę, a jeszcze wcześniej Berlin — obcy i porządnie

pogruchotany. I oto jestem w mieście, w którym nie ma śladów zniszczeń, które ominęła szczęśliwie wojenna pożoga. Trotuary pekają od ciżby przechodniów, sklepy, choć słabo zaopatrzone, pełne kupujących, we „Frasce” (kto jeszcze pamięta tę kawiarnię?) wiodą spór Stanisław Jerzy Lec z Leonem Pasternakiem, a ponad kamienicami pogodnie, budzące ufność i nadzieję, sierpniowe niebo.

Ileż ludzi przewinęło się przez ulice tego miasta, aby potem pójść dalej — do innych miast: do Warszawy, Szczecina, Wrocławia. Wydawnictwo Łódzkie ogłosiło przed laty książkę „Tranzjtem przez Łódź”, zapisaną piórami tych, co tę Łódź opuścili. Bo miasto przyjmowało wszystkich: tych, którzy chcieli w nim pozostać na stałe, i tych, którym posłużyło za czasowy popas, nim nie znajdą dogodniejszego dla siebie miejsca gdzie indziej. Łódź ma jedną wielką zaletę: bliskość Warszawy. I jedną wielką wadę: bliskość Warszawy. Rzadko się zdarza, aby zaleta była jednocześnie wadą. Choć brzmi to paradoksalnie, przecież nie jest tylko paradoksem. Jakże nie wspominać przyjaciół, którym Łódź udzieliła gościny po wsze czasy. Jerzy Wyszomirski z Wilna, Stanisław Czernik z poznańskiego Ostrzeszowa, Wacław Mrozowski z lubelskiego Chełma, Helena Dunin z Warszawy, a pomiędzy nimi dwaj rdzen-

ni łodzianie: Grzegorz Timofiejew i Władysław Pawlak. Ich życie było częścią mojego życia. Mieszkaliśmy w jednej kamienicy („kamienica wielkiego miasta”), pisaliśmy książki, prowadziliśmy nocne rodaków rozmowy, piliśmy wino i białą czystą.

Gdym przyjechał do Łodzi, synowie moi uczyli się dopiero mówić, a dziś każdy z nich idzie przez życie o własnych siłach. Tu, w tym mieście, spędzili beztrudnie dzieciństwo, skończyli szkoły, dorosli, znaleźli kolegów i to, co nazywamy własnym miejscem na ziemi. Tu jest ten dom, w którym tyle było książek, tyle zapisanych kartek, tyle cichego bohaterstwa tej, co to wszystko umiała urządzić, czym sterowała i nad czym czuwała nieustannie.

Z okna łódzkiego mieszkania na czwartym piętrze oglądałem skwer, na którym rosła moje ulubione drzewa — topole. Jak celnie napisał o nich Władysław Broniewski:

W moim oknie pole i topole
i ja wiem, że to właśnie Polska.

Tu jest mój sąsiad (mieszkamy drzwi w drzwi), z którym dzielę kult inżyniera Tadeusza Kościuszki i przekazujemy sobie od czasu do czasu różne upominki „za darmo i na zawsze”. Tu jest to, co jest i co było, a czego już wkrótce nie będzie, bo wszystko mija i choć bardzo tego żał, zatrzymać i zmienić niepodobna.

Gdzieś około jedenastej w nocy miasto zaczyna usypiać, przed dwunastą zamykają się wszystkie restauracje, sklepy są już nieczynne od przynajmniej godziny. Dyżuruje jeszcze kilka nocnych barów gościnnych dla turystów z tzw. „twardą walutą”, jeszcze z przykładową regularnością kursują po ulicach trolejbusy, autobusy i tramwaje.

1.

Z tramwajem bywa tak jak z masłem: zaczyna się o nim mówić dużo (i źle), kiedy go długo nie ma. Czasami tramwaj pojawia się jako romantyczny lub wesoły element, wzbogacający treść piosenki. Ale tylko w jednym mieście tramwaj był kiedyś symbolem wiary w przetrwanie i zwycięstwo, a jego kursowanie było — jak by-

Ta opowieść o leningradzkich tramwajach nie jest jedną z legend, które rodzą się po trudnych dniach. Istnieją mapy z zaznaczonymi na nich „szczególnie ważnymi celami”, zachowały się kilometry taśmy filmowej z tamtych lat. I żyją ludzie — bohaterowie i świadkowie zdarzeń.

2.

Pisałem już kiedyś o najdłuższym leningradzkim dniu, który za sprawą białej nocy w ogóle się nie kończy, zlewa się z następnym.

W grudniu dzień jest krótki. O dziewiątej rano jest jeszcze zupełnie ciemno, latarnie płoną na ulicach aż do dziesiątej. O jedenastej — jeśli wyrzy słońce — miasto rozjaśnia się i znów świeci złoto na wieżach i kopułach. Ale słońce zachodzi już paręnaście mi-

„komu koniak, komu kanapki...”. Świeżutka pościel obiecuje wygodny sen, ale rozmowy przy herbatce i winie przeciągają się w głęboką noc. A tuż przed ósmą mijające się w drodze „Czerwone Strzały” przychodzą jednocześnie i do Moskwy i do Leningradu (budzi pasażerów muzyka z nastawionych na cały regulator głośników). Jeszcze toaleta poranna, jeszcze zdążymy wypić herbatę i zapalić papierosa — i już cel podróży. Dworzec Moskiewski w Leningradzie, lub dworzec Leningradzki w Moskwie.

4.

Wielkimi płatkami sypie mokry śnieg, zalepia oczy, ścieka po twarzy. Wieje wiatr, jest mokro, nieprzyjemnie. Pogoda typowo grypowa, ale gdzież tam moskiewskiej

właśnie polega urok Moskwy — na ciągłych, zaskakujących kontrastach. Urok centrum Moskwy — bo jej coraz głębiej rozciągające się obrzeża — to już zupełnie inne, nowe miasto. Jak daleko ciągnie się Moskwa? Trudno powiedzieć. Najbliższy i największy międzynarodowy port lotniczy Szeremietiewo leży „tylko” 30 km od centrum. Najnowszy — Demiedledowo, bagatela, prawie 60 km. Przynajmniej połowę tej odległości przejeżdża się wśród gęstej zabudowy miejskiej.

5.

Ubiegły rok obrodził w Związku Radzieckim w ważne jubileusze literackie. Zaczęło się w czerwcu od Dni Puszkiniowskich, na których byłem delegatem polskich pisarzy. W początkach listopada —

6.

Być może, że jest to, pewnego rodzaju skrzywienie psychiczne, ale coraz mniej interesują mnie w ostatnich czasach krajoznazwy i za- bytki. Jeszcze wtedy, w trakcie lenin- skiej podróży po puszkiniowskich miejscach zachwyceni byli pskowskim Kremlm, jeszcze wtedy oczarowa- ł mnie niziny nowogrodzki pejzaż i białymi i różowymi cerkiewkami nad rzeką i jeziorem Wolchow. A potem jeszcze, u progu lata zobaczyłem cudowny, dziki las — park nad Fińskim Zalewem, w Wyborgu, w radzieckiej Karelii. Ale zawsze najciekawsze przeżycia — to znajomość z ludźmi, których się dotąd nie znało, z ich pasjami, dziełami.

A więc poznałem wielkiego aktora, Siemionowa, znanego u nas z filmu „Piotr I” uwielbianego przez leningradczyków za role teatralne, filmowe i telewizyjne, któremu ta twórczość nie wystarczy — jest on również wybitnym malarzem.

A więc poznałem Iraklija Andronnikowa, pisarza-gawędziarza, którego oślniewające gawędy wypełniają np. cały spektakl teatralny i zawsze przyciągają tłumy ludzi.

A więc poznałem ludzi zakochanych w Polsce i w polskiej kulturze, mówiących piękną polszczyzną i cieszących się z każdej okazji rozmowy w tym języku.

A więc poznałem... Ale żał mi tego tematu. Zostawię go sobie na następną opowieść.

7.

Z okna pięknego, nowoczesnego hotelu „Leningrad” jeszcze raz patrzę na miasto. Tuż obok, jak ręką dotknąć — znajoma sylwetka krążownika „Aurora”, na którego maszcie powisa flaga Marynarki Wojennej ZSRR. Trzoseczkę dalej — niby niebieskawe tło — budynek Akademii Nachimowskiej. Dziś pada gęsty śnieg, pada na białą, zamrznątą Nowę. W tym śniegu przeciwny brzeg jest prawie niewidoczny. Ale już przecież znam to wszystko na pamięć, wiem, gdzie Litiejny, a gdzie Kirowski Most, wiem, gdzie Isakijewski Sobor, gmach Admiralicji, w którym miejscu wspina się koń Miedzią- noga Jeżdźca.

I tak w gęstym, cicho padającym śniegu kończy się moja szósta ro- ryjska podróż. Do widzenia, zimo- wy Leningradzie.



MAREK WAWRZKIEWICZ

W LENINGRADZIE I W MOSKWIE

śmy to dziś powiedzieli — niesly- chanie doniosłym elementem woj- ny psychologicznej. I nie tylko psychologicznej.

W czasie 900-dniowej blokady Leningradu tramwaje były ogrom- nie ważnym środkiem transportu. Dowoziły nie tylko robotników do pracy, podwoziły również broń na pozycje obronne, dostarczały amu- nicji, odwoziły rannych do szpita- li. I były symbolem życia organiz- mu wielkiego miasta. Nic więc dziwnego, że na mapach artyleryst- wów hitlerowskich remizy tram- wajowe, przystanki, podstacje sie- ci elektrycznej zaznaczone były ja- ko „cele szczególnie ważne”. Ale dzięki mistrzostwu tramwajarzy len- ingradzkich, pod ciężkim ostrza- lem artyleryjskim tramwaje ciągle kursowały. Nikt ze starych miesza- kańców miasta nie zapomniał stras- nego, mroźnego poranka — 8 grudnia 1941 roku. O szóstej rano miasto zostało pozbawione elek- tryczności i ruch tramwajów za- marł. Ale przyszedł dzień 15 kwiet- nia 1942 r. „Nikt nie zapomni, jak wiosennymi ulicami po ciężkiej z- mie przejechały pierwsze tramwa- je. W ich dzwoniących już po- brzmiewał daleki dźwięk dzwoni- wyciastwa” — pisała wtedy „Len- ingradzka Prawa”.

nut po trzeciej, a o czwartej szyb- ko zapada zmierzch. Na Nowie — mimo łagodnej zimy — gęsta, bia- ła kora z okami zielonoszarej wo- dy, Fontanka i Mojka zamazane- te na gluchą. Mostów teraz już nie podnoszą, trzeba zaczekać do wio- sny, która tu przychodzi powoli, ślamazarnie.

— Zima u nas — mawiają len- ingradczyki — trwa tylko osiem miesięcy, reszta to już lato..

3.

Analogii jest tu niezbyt wiele: od nas do stolicy jedzie się w dzień i tylko około 2 godzin. Tam — z Leningradu do Moskwy — jeśli nie ma miejsc w samolocie, jedzie się nocą i dużo dłużej — osiem go- dzin. Tak, ale to przecież 700 kilo- metrów.

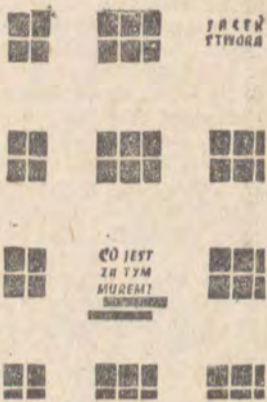
A jednak jest analogia — bo tak, jak u nas, jedzie się do stolicy i ze stolicy z delegacją w kieszeni, samolotem — 50 minut, szybkim, popołudniowym ekspresem — 5 go- dzin. Ale ulubionym pociągiem de- legacyjnym jest „Czerwona Strza- ła”. Pociąg składa się wyłącznie z wagonów sypialnych; czystych, świetnie ogrzanych, dysponuje bu- fetem i personelem, który chodzą- c po wagonach kusząco proponuje:

grypie do naszej epidemii. Jestem tu po raz któryś z rządu, ale zawsze tak samo oszalama mnie mo- skiewska ulica, szeroka, przestron- na, ogłuszająca szumem aut, poru- szających się w ośmiu lub nawet dwunastu strumieniach. I zawsze — tak, jak za pierwszym razem — ogarnia mnie lekki niepokój i uczucie, że zaraz zabłądę, zmylę drogę. Zabudowa tego ogromnego miasta (mówi się już o 8 mln ludo- ności) jest zaprzeczeniem prostej, przejrzystej geometryczności ulic Leningradu. No tak, ale Lening- rad liczy sobie dopiero niespełna lat trzysta, Moskwa jest stara, po- szczególne kwartały miasta budo- wano w różnych wiekach i w róż- nych stylach. Rozrosła się więc pierścieniami stopniowo; coraz sz- erzej. Dopiero w ostatnich latach dokonano olbrzymiej i nieslycha- nie szybko przeprowadzonej pracy — dostosowania miasta do wymo- gów nowoczesności. Stąd właśnie te imponujące prospekty, estakady, tunele i wiadukty, stąd zupełnie nowe, imponujące wielkością i roz- machem centra handlowo-usłu- gowe. A z tymi nowymi dzielnicami już o krok sąsiaduje stare i bardzo stare: budowle sakralne, kwartały miasta zbudowane przed stu i więcej laty. I może na tym

uroczystości związane z Fiodorem Dostojewskim (był na nich Adolf Rudnicki i Jan Koprowski), a w połowie grudnia kolejny jubileusz — 150-lecie urodzin Mikołaja Nie- krasowa (i znów lodzianin repre- zentuje polskich literatów — tym razem Igor Sikirycy).

Te ostatnie uroczystości przebie- gają raczej skromnie, międzynaro- dowy zjazd skupia tylko dwudzie- stu kilku pisarzy z ośmiennastu krajów świata, trasa zaś po nie- krasowskich miejscach zaczyna się w stolicy Związku Radzieckie- go przez Leningrad, gdzie w nie- wielkim domu przy Litejnym Pro- spekcie spędził wielki poeta rosyj- ski większą część swego życia, a następnie obejmuje dwie małe wsie niedaleko Jarosławia, gdzie spędził młodość. W Leningradzie, na sta- rym Cmentarzu Nowodziewiczym składamy wieńce na grobie poety, odwiedzamy mieszkanie, zamienio- ne teraz na muzeum państwowe, odbywamy dwa uroczyste wieczory Niekrasowskie. Ale najbar- dziej interesującym punktem pro- gramu jest wycieczka po litera- ckich miejscach Leningradu, który w ten dzień funduje nam prze- piękną, zimową pogodę. Jest tych miejsc, upamiętnionych życiem i dziełami wielkich pisarzy ogrom-

ADAM LEWASZKIEWICZ



ZDZISŁAWA CELEBRAKA WŁAMANIE DO LITERATURY

Pięć lat temu przeczytałem „Co jest za tym murem?” Jac- ka Stwory. Książka była cieka- wa — doczekała się telewizyj- nej i radiowej adaptacji, zapamiętałem jej treść i na- zwisko autora. Przed kilku dniami, przeglądając sądowe wyroki — natrafiłem na na- zwisko jej autora i po raz wtórny spotkałem się z boha-

terem książki. Była to lektu- ra ciekawa, jakby przedłużenie dziejów głównej postaci. Jeśli książka doczeka się nowego wydania historia tego procesu powinna stanowić jej zakoń- czenie.

Ludzie, którzy zetknęli się z jej bohaterem — Zdzisła- wem Celebrakiem byli na o- gół jego ofiarami, spotykały

ich większe lub mniejsze zmartwienia, kłopoty, nie- przyjemności. W kręgu tych osób znalazł się reporter. Zdzisław Celebrak do końca pozostał człowiekiem, który chce żyć cudzym kosztem, cu- dzą pracą.

Nie ma oczywiście w wyro- ku o tym mowy wprost, ta uwaga jest zawarta jak gdyby

między wierszami. Sprawa są- dowa bowiem ma charakter literacki — jest procesem o reportaż i zarazem reportażem o ostatniej przegranej Cele- braka, Ale ad rem.

W listopadzie 1967 r. Wy- dawnictwo Literackie w Kra- kowie wydało w nakładzie 7 tys. egzemplarzy książkę Jac- ka Stwory „Co jest za tym murem?”. W związku z przed- mówie autor m. in. pisał: „Z więzieniem nr 653/64 zetknąłem się na terenie centralnego za- kładu penitencjarnego (...). Przypadkowo nawiązana roz- mowa przedzierzgnęła się w długą i osobliwą opowieść o życiu Zdzisława Celebraka. Zanotowałem ją na trzydzie- stu pięciu kilometrach magne- tofonowej taśmy, za zgodą rozmówcy, w ciągu kilku dni spędzonych „pod jedną celą” z więźniem nr 653/64. W pi- semnym przekazie musiałem dokonać koniecznych skrótów, a także pewnego układu tek- stu, gdyż oprócz Zdzisława Ce- lebraka występuje tu jego żo- na Ela. W obu wypadkach starałem się zachować oryginalny styl rozmówców (...). Odnoteowałem jedynie wiele lat życia tych dwojga osób i

innych. Powstrzymałem się od tak zwanego reporterskiego komentarza, bo jak można komentować bieg rzeki, która już wyszła (...). Oczywiście nazwisko więźnia nr 653/64, jak i wszystkie inne, jest fik- cyjne (...).”

Więziem występującym w książce pod nazwiskiem Zdzi- sława Celebraka był Stanisław O., kilkakrotnie skazywany przez sądy karne za kradzie- że i inne przestępstwa. Jesz- cze gdy przebywał w więzie- niu, Jacek Stwora przesłał mu „pod celę” książkę wraz z dedykacją, a nadto zgodnie z zawartą z nim umową — przesłał mu pod adresem jego matki 1.250 zł.

Na początku 1970 roku Sta- nisław O. wystąpił do sądu z pozwem domagającym się za- sadzenia na jego rzecz od Jac- ka Stwory wynagrodzenia wy- noszącego 25 proc. od sum u- zyskanych z honorariów za pierwsze wydanie książki pt. „Co jest za tym murem?”, a także za wystawienie w tele- wizji utworów opartych na tej książce. Ponadto wnosil rów- nież o wydanie wyroku wstep- nego ustalającego, że jest współtwórcą książki i naka-

zującego Jackowi Stworze opu- blikowanie w „Życiu Litera- ckim” i w „Kulturze”, że po- wód jest współautorem książ- ki, a także opracowanych na jej podstawie słuchowisk ra- diowo-telewizyjnych.

Uzasadniając swoje roszeze- nia, Stanisław O. twierdził, że doręczył reporterowi pa- miętnik, który uzupełnił ustnie szczegółami dotyczącymi jego przeżyć, związanych z działal- nością przestępczą, z jego wal- ką z pozostałościami hamul- ców moralnych. Zdaniem po- woda umowa zawierała z re- porterem w więzieniu, na pod- stawie której miał otrzymać 5 proc. od sumy honorarium uzyskanego za pierwsze wy- danie książki jest niesprawied- liwa, wysoce krzywdząca i sprzeczna z zasadami współz- ycia społecznego. Zawarta bo- wiem została w specyficznych warunkach więziennych, a pozwany wykorzystał jego nie- świadomość. W toku przewodu sądowego Sąd Wojewódzki u- stalił następujące fakty:

W 1965 r. Polskie Radio i Komenda Główna Milicji Oby- watełkiej ogłosiły literacki konkurs dotyczący pracy Mi- licji Obywatelskiej. Jacek

torniczego, że nigdy nie spotkałem awanturującego się konduktora. W większości wypadków — ci ostatni są również uprzejmi, skorzy do udzielania pasażerom wyczerpujących informacji. No, zastanów się, jaka jest różnica między nimi, a na przykład, cholernymi kelnerami albo gnuśnymi urzędnikami, z których każdy robi ci z byle jakiej odpowiedzi wielką łaskę.

Jaki stad wniosek? Nie przypuszczasz chyba, że zatrudnieni „na tramwajach” ludzie są starannie doborani, poddawani przed podjęciem pracy specjalnym testom na grzeczność i łagodność charakteru.

Tu musi być zupełnie inna, na pewno godna uwagi socjologów i psychologów przyczyna.

Ze skromnych, reporterskich obserwacji wynika, że na pozabawione wszelkich cech agresji, nieraz wręcz pasywnie zachowują się tramwajarzy — ogromny wpływ wywiera agresywna, nieraz wręcz chamska postawa pasażerów; ale z kolei, żeby zamknąć to biedne koło, czarny humor pasażerów wiąże się przeważnie z niebywałym ścisłkiem, z koniecznością niustannego przepraszania tych, co niechętni zostali kopnięci w kostkę, i niustannego strofowania tych, co jednocześnie zaczęli rozpychać się łokciami.

W kotłującym się, sykającym, pracującym ze wszystkich stron do wyjścia i do wejścia tłumie — tkiwają na swoim skromnym stanowisku przy oknie konduktor, czuje się sterroryzowany, bezradny... Ma ograniczone pole widzenia, a jego wołanie o zapłatę, o to, aby przesuwać się do przodu i zejść ze stopni, brzmi słabo.

Zresztą — konduktorzy żywią uraz do zdecydowanych interwencji, wiedząc, że już niejednokrotnie skończyło się to dla nich tragicznie...

Wizja pobitych przez chuliganów, czy też wyrzuconych w bieggu z wagonu tramwajarzy jest sugestywna.

Nigdy nie wiadomo, z której strony padnie cios.

Czasami sympatię pasażerów pozyskuje sobie pijaczysko i nie ma siły, żeby wysadzić takiego na najbliższym przystanku.

Czasami słychać dowcipne dialogi:

— Obrońcy granic nie płacą za nic.

— Ja tylko, panie szefie, dwa przystanki.

— Z więzienia dopiero wyszedłem. Nie mam, jak pragnę Boga, złamane go peja!

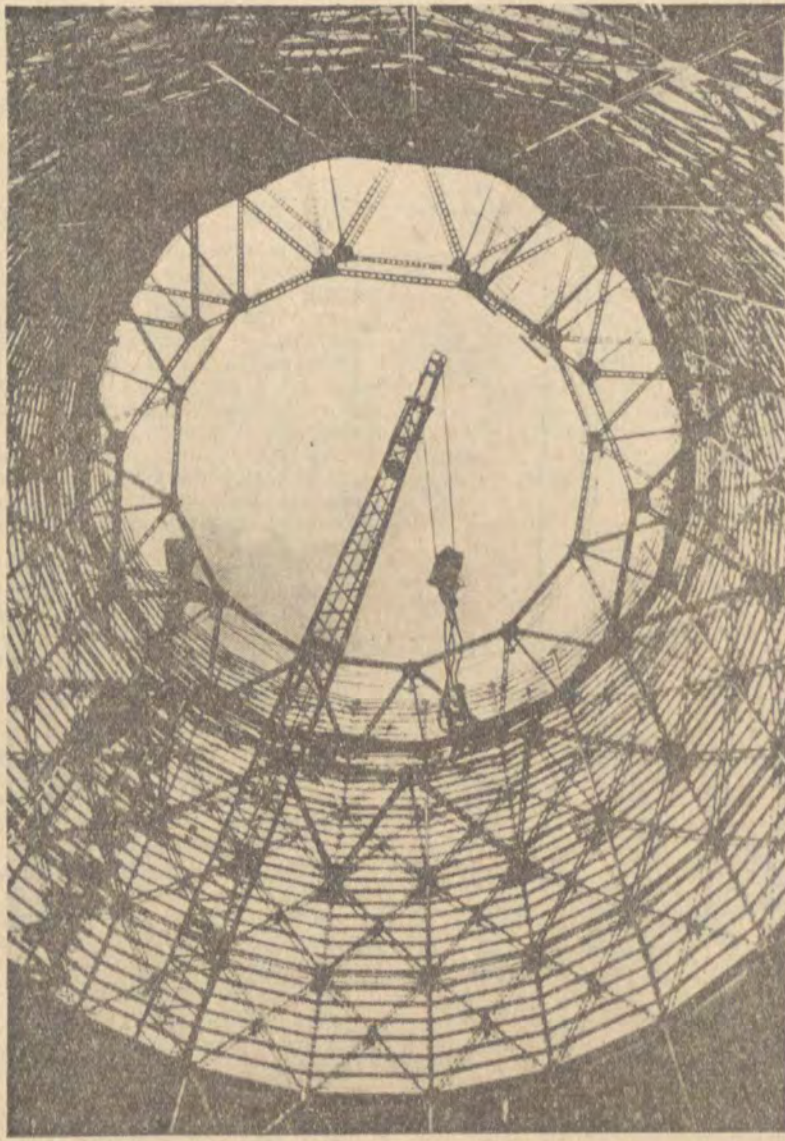
— W Ameryce tramwaje są za darmo.

— No, nie mogę tej dychy rozmielić w poniedziałek: w tydzień się rozleci...

— To „siłdemka” skreca w Zieloną? Mnie potrzeba jechać prosto...

— Miej pan serce — mów do konduktora facet, z którego twarzy i głosu wynika, że nie ma takiej siły, która mogłaby go powstrzymać w krytycznym momencie od najgorszej awantury. — Zonę potrzebną odwiedzić w szpitalu.

— I jedzie pan do niej w takim stanie! — wykrzykuje jakaś naiwna, świeżo oburzona kobieta,



Najcie metro!

— W jakim stanie? — zapytuje grzeczny, zachrypłym szeptem ten facet i podsuwa jej pod nos płacide, wielką jak bochen chleba i czarna, jak ziemia, która ten chleb wydała. — Syn mi się, jak raz, urodził i musiałem wypić kielicha. — Dowcipne dialogi toczą się również między samymi pasażerami. — Co się pan tak peha? — Jak się panu nie podoba, to niech pan jedzie taksówką.

— Uważaj, frajerze, bo zaraz pojedziesz karetką pogoiwola. — Tylko nie frajerze, ty gnoj! Uważaj, żebyś nie pojechał karawanem. — Nie kłóć się — uspokajaj ich ktoś z boku — bo obaj pojedziecie radiowozem. — A ty się nie wirać! — wrzeszcza solidarnie, jeden przed drugiego ci, co jeszcze przed chwilą byli w stanie wojny. — Stul pysk, bo zamiast

jechać, to puścimy cię do domu powietrzem.

— Na pomoc! — wrzeszcza, zanosząc się od śmiechu jakieś wyrostki, popalając beczelnie papierosy na peronie.

— Tu nie wolno palić! — ustawia ich ostro pan w porządnym, wizytowym ubraniu i odskakuje jednocześnie, niby porażony prądem, od zamolonego kominiarza, a ponieważ pada rześisty deszcz, inny pan, który jeszcze przed sekundą patrzył na kominiarza z rozczuleniem, i trzymał się za guzik, życząc sobie wszystkiego najlepszego, zmienia oblicze i odkopuje z niehamowaną wściekłością ociekającą wodą parasol kobiety, która wsiadała właśnie do pudła na jednym z zablokowanych przystanków i teraz rwie do przodu, torując sobie drogę metalowym, ostrym jak sztylet szpiculcem. Tymczasem granda wyrostków, nie gasząc bynajmniej papierosów, wyskoczyła z podejrzanym pospiechem na pierwszym lepszym zakręcie i puściła się biegiem w tunel mrocznej ulicy, co widząc omotana w wetnianą chusteczkę babułka, trzymająca kureczowo w zgrabiałej ręce kobieleczkę z serem i jajkami, podniosła nie opisany wrzask:

— Ukradli, ukradli!

— Co ukradli?

— Woreczek!

— Jaki woreczek?

— Z pinindami!

— Dużo tego było?

— Trzysta!

Konduktor dzwoni. Tramwaj staje. Rozlega się wołanie: „Milicja!” Część pasażerów wyraża w związku z tym nieprzewidywanym postojem oburzenie (spóźnią się do roboty!), poddając w wątpliwość prawdziwość słów poszkodowanej wieśniaczki. A z tyłu podzwaniają już inne, zatrzymane, po brzegi wypełnione ludźmi tramwaje i zniecierpliwiony, zdenerwowany tłum wylega na ulicę, podążając do celu pieszo, a więc jedynym niezawodnym środkiem lokomocji.

Ile takich scen widziałeś? Przecież nie jest żadną tajemnicą, że z powodu panującego na liniach tłoku — w Łodzi, a także w innych miastach, wykształcił się specjalny rodzaj złodziejstwa kieszonkowego, który wsiada do tramwaju w godzinach największego nasilenia i ostro patroszy kieszenie zmęczonych, pozbawionych uczucia ludzi. Ginią wówczas nie tylko pieniądze (nieraz cała miesięczna pensja), ale również wieczne pióra, zegarki, bransoletki, torby i teści.

Jest to jednakże tylko jedna z wielu wad tramwajowej struktury.

Tramwaje jeżdżą stadami.

Tramwaje się psują.

Tramwaje się spóźniają.

Tramwaje są brudne, w związku z czym człowiek w czystym ubraniu unika ich jak ognia.

Tramwaje są wywrotne, w związku z czym niektórzy ludzie mają zwyczaj kreślić się na początku podróży znakiem krzyża.

Tramwaje wywołały kiedyś w tym mieście serię czarnych, ponurych sensacji, ale na szczęście ere (żeby nie powiedzieć: afere) tramwajowych widm — całkowicie pustych, bez motorniczych, konduktorów i pasażerów, kierowanych ręką losu (wrednego losu, bo przecież ostatni tramwaj-widmo skosił kilkanaście ofiar) —

mamy już za sobą. Byłem wówczas, tuż po wspomnianej tragedii, u dyrektora naczelnego MPK. Czuł się niewinny. Pamiętam, że radził mi, abym zamiast czepląc się dyrektorów i brygad odpowiedzialnych za stan techniczny taboru, „skrytykował zbrodniarza” (tak się właśnie wyraził), a więc tego drania, który dla hecy wprawili to całe widmo w ruch.

„Przecież nie wiadomo, kto to zrobił!” — powiedziałem. — „Zbrodniarza jest anonimowy”. — „To niech pan skrytykuje anonimów!”.

Gal Anonim, he, he!... Tego dyrektora już nie ma. Teraz jest inny dyrektor, ale tramwaje, aczkolwiek era widm została przerwana, pozostały te same...

Zapaćkane szyby.

Naderwane poręcze.

Chwiejące się stopnie.

Popękane, kalejące ręce plastikowe uchwyty.

Raz na rok szorowane podłogi.

Najeżone drzazgami framugi okien...

— Parę dni temu zwolniłem się z pracy — powiedział mi pewien gość, ekonomista, którego nie stać, póki co, na samochód. — To była dobra praca, wysoko płatna, stwarzająca perspektywę awansu, ale odległa od domu o czterdzieści minut tramwajowej drogi. Z początku myślałem, że potrafię się jakoś do tych kursów w te i z powrotem przyzwyczaić. Jednakże było to ponad moje siły. Teraz mam gorszą, mniej płatną pracę, a przecież nie żałuję tej zmiany: chodzę sobie do zakładu spacerkiem.

— Mieszkałem przez parę lat w Gdańsku, a pracowałem w Gdyni — zwierzał mi się inny człowiek. — Dzień w dzień przystałem z koleżki elektrycznej. Też nie zawsze były miejsca siedzące, no i podróż trwała w jedną stronę przeszło pół godziny, ale powiem panu szczerze, że w porównaniu z łódzkimi tramwajami ta jazda była prawdziwym luksusem.

— Tramwaje w Łodzi zdadzą egzamin dopiero wówczas, jeśli rozbuduje się wszelkie pozostałe środki komunikacji — zawyrokuje jeden z kompetentnych dziennikarzy. — Jest wiele sposobów na rozładowanie tramwajowego tłoku, ot, choćby zrównanie wysokości opłat za bilety tramwajowe i autobusowe, aby stworzyć ludziom możliwość swobodnego wyboru. Nie od rzeczy byłaby także z pewnością kolej obwodowa. Ale, biorąc pod uwagę, że Łódź jest ciasna, zbita architektonicznie i z każdym rokiem coraz bardziej zatłoczona samochodami, prawdziwą szansę otworzy przed nią dopiero przyobiecane metro.

Czy jest w kraju miasto bardziej na ten przywilej zasługujące?

No, ale przestańmy bujać w chmurach.

Nasze kochane, czerwone tramwaje, bez których życie w mieście zostaloby momentalnie sparaliżowane, jeszcze długo, długo będą dla Łodzi podstawową formą codziennych, krótkich podróży i trzeba robić wszystko, aby osiągnąć w tym zakresie, w ramach skromnych, a przecież istniejących możliwości, jakąś zdecydowaną poprawę.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Słwora zainteresowany konkursem, po otrzymaniu potrzebnych zezwoleń, zwrócił się do naczelnika Wojewódzkiego Aresztu Śledczego w Krakowie mjr. Jana K. o umożliwienie mu rozmowy z więźniami. Za zgodą naczelnika aresztu, reporter przeprowadził z więźniami kilka rozmów, nagrywając je na taśmie magnetofonową. Zgromadzony tą drogą materiał nie odpowiadał jednak reporterowi. Wówczas mjr. Jan K. wskazał Stanisława O. Przedtem jednak naczelnik zakładu karnego zapytał więźnia, czy wyraża zgodę na rozmowę z redaktorem Polskiego Radia i poinformował Stanisława O., że reporter zamierza opracować audycję radiową, o tym jak skazany Stanisław O. wszedł na drogę przestępstwa.

Na podstawie pierwszej rozmowy opracowany został przez dziennikarza fragment reportażu „Trzy karty”. Z 40-minutowej rozmowy powstało kilkunastominutowe opowiadanie. Ale temat i opowiadanie więźnia zafascynowały reportera. Zjechał zastanawiać się, czy by nie napisać książki o psychice ludzi i psychozie panującej „po drugiej stronie muru”. Za zgodą więźnia odbył z nim jeszcze kilka rozmów. Trwały one około 20 godzin. Stanisław O. opowiadał swoje życie od dzieciństwa aż do skazania go na 12 lat więzienia. Gdy chciał „rozgałęzić” swą opowieść, reporter „narrzucił mu myśl”, by się streszczał. Opowiadając o kolejach swego losu — skazany podawał motywy postępowania, nazwane przez niego Item, reporter naprowadzał go ciągle na temat — jak wchodził w kolizję z prawem. Po nagraniu rozmów doszło do inicjatywnej rozmowy do pisemnej umowy, w której m. in. Stanisław O. zastrzegł sobie tajemnicę nazwiska i zobowiązał się nie rościć żadnych dodatkowych pretensji z tytułu zawarcia umowy, tak z zakresu wynagrodzenia, jak i praw autorskich.

Sąd ustalił także, że taśma magnetofonowa uległa skasowaniu po wykorzystaniu jej przez reportera, a także, że Stanisław O. nie dostarczył reporterowi pamiętników, ponieważ ich nie pisał. Fakty podane w książce pt. „Co jest za tym murem?” są autentyczne, opowiadane przez Stanisława O., jednakże ich kolejność, dobór, kompozycja zostały opracowane przez reportera. Wezwano na rozprawę sądową także biegłego z zakresu literaturoznawstwa doc. dr J. B. Rzeczoznawca uznał, że opowiadanie Stanisława O. nie było utworem literackim, że wkład powoda był jedynie wkładem pomocniczym, nie wpłynął w żadnej mierze na ostateczną treść książki, ani na formę w jakiej otrzymał ją odbiorca.

Zdaniem Sądu Wojewódzkiego książka jest reportażem, powstałym w wyniku rozmowy stron, w której reporter narzucił „styl i myśl”. Opowiadanie powoda trwało 20 godzin, a praca nad książką przeszło rok. Nie bez znaczenia dla sądu był fakt, że nie płacił się osobie udzielającej wywiadu, ale tylko tej, która wywiad przeprowadza.

Sąd Wojewódzki powoził się na art. 1 § 1 Prawa Autorskiego, że naruszył prawo materialne. Zgodnie bowiem z art. 1 § 1 Prawa Autorskiego każdy utwór literacki, ustalony w jakiegokolwiek postaci, jest przedmiotem Prawa Autorskiego; w szczególności przedmiotem prawa autorskiego są utwory wyrażone drukiem, słowem lub pismem. Stanisław O. przez swego pełnomocnika podniósł w rewizji, że jego opowieść nie była tylko podaniem faktów, lecz miała echy indywidualnego opracowania słownego. Ma on bowiem fantazję, zdolność percepcyjną, umie podglądać różne sytuacje życiowe w więzieniach, zna wiele historii więźniów i dlatego do swych osobistych przeżyć wplatał także przeżycia innych osób. A umiał to czynić, co sprawiło, że opowieść była ciekawa i nabierała cech twórczości.

Sąd musiał znaleźć odpowiedź na pytanie: — czy opowiadanie Stanisława O. jest utworem literackim? A przedtem: co to jest utwór literacki? Znowu odwołano się do biegłego literaturoznawcy doc. dr J. B. Określenie „utwór literacki” — używane jest w dwojakim znaczeniu. W znaczeniu węższym jest to utwór, zaliczany do literatury pięknej, zawierający elementy li-

— To cudowne — powiedziała Jo opowiadając mi o autostopie. — To cudowne, że nigdy nie wiadomo gdzie będziesz jutro. Nawet nie wiesz gdzie będziesz dziś nocował.

— A właśnie — podchwyciłem — jak wy się właściwie urządza- cie z noclegami?

— Rozmaicie. Stodoła, domek campingowy, czasem łóżko w ho- telu turystycznym, stóg siana w ostateczności. Zbyszek...

— Co Zbyszek?

— Zbyszek zawsze potrafi coś wy- kombinować.

— Jak nie dwa łóżka to jedno. Czy tak? — spytałem niby to mi- mochodem, ale uważnie patrząc na Jo.

Podnosiła właśnie łyżeczkę z lodami do ust. Jej ręka nagle opadła. Spojrzałem, że Joanna się zaczerwieniła. „To dobrze” — pomyślałem. „To dobrze, że się jeszcze rumieni!”.

— Tata... O to ci chodzi... — Czy nie mam prawa wie- dzieć? — powiedziałem wprost. Jo nie odpowiedziała. Teraz znowu wolno unosiła łyżeczkę z lodami do ust. Spojrzała w okno. Z okna cukierenki widać było jezioro. Jo przelknęła lody.

— Słuchałam twojej audycji z ośrodków wczasowych — powie- działa jakby bez związku z tym o co pytałem. — Szła kilka dni temu.

— Tak? — zdziwiłem się. — Nie wiedziałem, że już ją nadali. Zresztą i tak nie mógłbym jej wysłuchać. Nie zabrałem tutaj z sobą radia tranzystorowego. A ty słuchałaś? — Spytałem, choć pytanie było w gruncie rzeczy bez sensu, przecież Jo mi o tym właśnie powiedziała.

— Jak wiesz, staram się słu- chać wszystkich twoich audycji radiowych.

— I co? Podobała ci się?

— Owszem. Dość ładnie to zro- biliście.

— Chciałaś powiedzieć, że ład- nie to zrobiłem?

— Chciałam powiedzieć, że ład- nie to zrobiłście. I tak właśnie powiedziałam.

— Nie rozumiem.

— Rozumiesz, tata. Rozumiesz. Patrzyłem na Jo ze zdziwie- niem. O co jej właściwie chodzi? Iza? Czyżby Jo wiedziała o Izie? A jeżeli tak, to co właściwie wie- działa? Nagle przeraziłem się. I chyba Jo dostrzegła przestrach w moich oczach, bo uśmiechnęła się. Lekko. Może nawet trochę ironicznie. Czy Emilka także wie? — myślałem z niepokojem. Czy może dlatego nie przyjechała tu razem z Jo? Czy skoro Jo wie- działa, nie wygadała się do mamy? A może, może Jo nie wie nic o Izie?

— Wiesz, zbierałem do tej au- dycji materiał przez całe lato. To była ciężka praca — próbowałem zagadać Jo.

— Oszłona uśmiechami pięk- nej kobiety — powiedziała drwią- czo Jo. — I chyba nie tylko uśmie- chami.

Więc jednak Jo wie o Izie. To nie ulegało już żadnej wątpliwości. Ale co wie i skąd? Czyżby i Emilka też wiedziała? Należało teraz poprowadzić jakoś delikatan- cie tę grę, by od własnej córki dowiedzieć się wszystkiego, nie zdradzając się zbytnio samemu.

— Słuchałam twojej audycji bardzo uważnie — powiedziała Jo. — I trzy razy usłyszałam jej miłutki głosik.



Rys. E. Ingot

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

Rozmowa z córką

Jo najwyraźniej drwiła sobie ze mnie. Bawilo ją moje zakłopotanie. A równocześnie brała odwet za wtykanie nosa w jej własne sprawy. To ja przecież pragnąłem się czegoś dowiedzieć o jej sprawa- ch najbardziej osobistych, może nawet miałem zamiar ją pou- czać. Role się odwróciły. To Jo była teraz prokuratorem, może sędzią. To Jo może pouczy mnie o moich obowiązkach wobec żony.

— Czyj głos? — spytałem uda-ając, że nie rozumiem.

— Jej. Izy.

— Co wiesz o Izie?

— A ty?

Patrzyła teraz przez okno. Na jezioro. Jakaś żaglówka przybli- żała się do brzegu. Lody topniały w metalowym kieliszku Joanny.

— Jedź lody! — powiedziałam pokazując wzrokiem. — Jedź, bo stopnieją!

Byłem już opanowany. Iza? Więc cóż z tego? Czy nie mam ostatecznie prawa na spędzenie wakacji z piękną kobietą? Czy mam się przed Jo, tą smarkułą, może tłumaczyć? Może pokajać? A Emilka? No, tak, jeśli Emilka wie o Izie mogą wyniknąć z tego nieprzyjemności. Tak czy owak należało stawić czoła wszystkiemu co może z tego wyniknąć.

— Całe lato spędziście razem. Ty i Iza.

— No i co?

— Nic. Na twój rachunek zresz- tą.

— Jo! — krzyknąłem. „Na co sobie ta mała pozwala” — myśla-łem zdenerwowany i wściekły. Początkowo koszty miały być wspólne. Po połowie benzyna do samochodu Izy, hotele, posiłki. Ale przecież nie mogłem pozwolić na to, aby Iza płaciła. Ostatecznie to ona mnie wyświadcza- ła łaskę, ciągnąc się ze starszym mężczyzną. Zresztą opowia- dała mi, że ostatnio nie ma pie- niędzy. Skąd jednak Jo wiedziała o wszystkim?

— Nie krzycz, tata! — powie- działa Joanna spokojnie. — Patr! Tamci ludzie — pokazała lekkim ruchem głowy na zakochaną par- kę w rogu salki — aż się nam przyglądają.

— Skąd wiesz, zapytasz — mó- wiła dalej Jo. — Nie trudno się tego domyślić.

— Znasz Izę? — spytałem rze- czowo.

— Z widzenia — odpowiedzia- ła. I po chwili dodała: — Zdaje się, tata, że się wystraszyłeś. Nie bój się.

Zaczęła teraz grzebać łyżeczką w rozpuszczonych na zapę łodach,

od czasu do czasu podnosząc gę- sty, żółtawy płyn do ust.

— Niczego się nie bój. Mama o tym nie wie — powiedziała.

— Nie wie? — spytałem i spo- strzegłem, że równocześnie przy- znają się do romansu z Izą.

— Chyba nie... — odpowiedzia- ła po krótkim namyśle Jo. — By- liście chyba na tyle ostrożni, żeby przez te dwa lata nie pchać się ludziom zbytnio w oczy z waszym romansiem.

— A jeśli... jeśli to nie tylko romans... — powiedziałem nie pa- trząc na Jo. Przez okno widzia- łem jak żaglówka dobija do brze- gu. Wyskoczyło z niej dwóch chłopców i prawie nagie dwie dziewczyny. Coś tam zapewne pokrzykiwali do siebie, choć ich głos nie dochodził tutaj ale można się było tego domyślić po żywej gestykulacji rąk.

— Więc co? Miłość? — spytała poważnie Jo. Wszelki infantylizm znikł z jej twarzy, z jej głosu. „Nie znam mojej córki” — pomy- ślałem. „Zupełnie jej nie znam. Kim jest Jo? Kim jest Iza? Kim Emilka?”. Ale nie czas teraz było na filozoficzne rozważania. Przede mną siedziała moja córka. Czy miała prawo wypytywać mnie o to, o co się wypytywała? I musiałem przyznać w duchu, że Jo takie prawo posiada.

— Więc to jednak miłość — powiedziała cicho Jo.

— Nie wiem. Czy ty zawsze wiesz?

Zastanowiła się.

— Nie. Czasem nie wiem.

Uśmiechnęła się. Jej wzrok jak- oś dziwnie zlagodniał. Siła się najwidoczniej na wyrozumiałość wobec mnie i moich postępów.

„Śmieszne. Jakże to w gruncie rzeczy śmieszne — pomyślałem — to ja miałem wypytywać Jo o jej sprawy i z góry już sobie postana- wiałem, że będę dla niej wyrozumi- ały. Role się odwróciły”.

Co wiedziała Jo o Izie? O moim romansie czy może mojej miłoci? Czy wiedziała o cudownych nocach kiedy pieściłem nagie cia- ło Izy w obskurnych hotelikach małych miasteczek? Czy wiedzia- ła o rankach nad morzem, kiedy szmer bijących o brzeg fal usyp- iał Izę w moich ramionach? Czy wiedziała o tym, że Iza zja- wiała się w momencie mojego ży- cia, kiedy najmniej się tego spo- dziewałem, kiedy już właściwie niczego nie pragnąłem, kiedy każ- dy dzień był podobny — jeden do drugiego, kiedy świat stracił bar- wy, kiedy chyliłem się tak bez- nadziejnie ku starości, nie mając już nadziei na żadną przygodę i powrót może złudny, ale zawsze powrót, do utraconej młodości, której właściwie nie miałem. Ze- by mnie mogła Jo zrozumieć, musiałaby wiedzieć o nocach w wojnę, kiedy wstrząsał mną kas- szel, o moich samobójczych my- ślach, o gruźlicy, która miała mnie strawić gorączką i bólem. Co wiedziała Jo o Izie-Berenice, Izie-Dianie, Izie-lowczydni, Izie pędzącej autem na złamanie kar- ku i podającej mi usta? Czy Jo mogła zrozumieć czym była dla mnie Iza? I czy Jo zdawała sobie sprawę z tego, że nieraz walczy- łem z uczuciem do Izy? Ze by- wały dni i noce kiedy, wściekły sam na siebie, chciałem zerwać z Izą? Przecież to Emilka uratowała mi życie, Emilka wyłącza- ła mnie niemal dosłownie z gro- bu, w którym leżałbym od lat dwudziestu kilku. Ale uczucie do

Izy, może miłość, choć kto wie, co to jest właściwie miłość, było ode mnie silniejsze. Jak ja mam się teraz tłumaczyć przed Jo, któ- ra patrzy na mnie z dziwnym wyrazem twarzy ni to współczu- cia ni to politowania.

— Co wiesz o Izie? — zapyta- łem.

— Dlaczego nie spytałeś, skąd w ogóle wiem o Izie — odpowie- działa Jo.

Odsunęła teraz kieliszek z roz- topionymi lodami. — Powiem ci, że całkiem przypadkiem zobaczy- łaś cię z Izą nad morzem. Ty mnie nie widziałeś. Byłeś zbyt nią zajęty. A ja sprawdziłam. Mieszkaliście w tym samym ho- telu. Reszty nie trudno było się do- myślić. Później zaś Zbyszek... — umilkła nagle.

„Zbyszek” — myślałem. „Zby- szek”. Nie lubiłem nigdy tego brodacza, który niewątpliwie uwiódł moją córkę i żyje z nią bez ślubu, biorąc ją po stodolach i leśnych zagajnikach. Zbyszek! Nienawidziłem go w tej chwili. To on pierwszy musiał mnie zo- baczyć z Izą. I co ten brodacz na- rozrabiał? Siedził Izę? Mnie? I co go to w ogóle obchodzi?

— Co później Zbyszek?..

— Widziałem, rodzice Zbysz- ka znają dobrze matkę Izy. Kie- dyś, jakoś tak się złożyło, że Zby- szek słyszał jak matka Izy mówi- ła do jego rodziców o swojej cór- ce. Tej twojej Izie. Zawsze po- dobno miała szalone pomysły. Rzuciła uniwersytet, a studiowa- ła, zdaje się, historię sztuki, więc rzuciła studia i zajęła się, wiesz czym? Produkcją pornograficz- nych pocztówek. Słyszałeś chyba o tym akcie. Sprzedawała swój akt.

— Nieprawda — powiedziałem wzburzony. — To kłamstwo! Twój Zbyszek jest babą z magla. Ja wiem, ja bardzo dobrze wiem, jak to było. Wiem także jak było z tym zdjęciem. Winien był jej mąż, fotograf...

— Jesteś jeszcze bardzo dzie- cinnie, tata — powiedziała Jo. I dodała: — I bardzo jeszcze ży- ciowo niedoświadczony. Iza nigdy nie była zamężna.

Nie wierzyłem mojej Jo. Dla- czego miałem jej wierzyć? Czy to nie Zbyszek uknuł całą intrygę? Po co? A czy ja wiedziałem po- co? Ot, tak dla zabawy. To się u nich, młodych, nazywa ubaw. Więc ubaw się udał. Jo przyje- chała tu do mnie, żeby mnie oder- wać od Izy, żeby Izę przedstawić źle w moich oczach, żebym zer- wał z Izą. Ubaw udał się. Przy- najmniej teraz, w tej chwili. Jest mi głupio. Przeróżająco głupio.

— Och! Jo! — powiedziałem niemal rozpaczliwie. — Gdybyś naprawdę знаła Izę...

— Więc kim jest dla ciebie Iza? — spytała Jo. — Kim jest Iza? — powtórzyła.

Ale ja nie umiałem jej na to pytanie odpowiedzieć.

Fragment powieści pt. „Śniada- nie na trawie”, która ukaza się w Wydawnictwie Łódzkim.

* * *

W związku z apelem kol. Witolda Fliechockiego (Biuletyn ZLP nr 23/71), honorarium za powyższą publikację przekazując na rzecz odbudowy Zam- ku Królewskiego.

Leżący pod Wozem

(CIENIOM PODKOMORZEGO)

Naprawić go Archaniol Michał nie pozwala ani pogrześć aniolów. U hotelu leżą Saturn, Giewont, Czerwony. Spalenię i Kalac pod obeliskiem próżni i powietrzna wieża

Obok narzędzia zbrodni — granaty i z dala Pięć o ziemię strzaskanych tarcz. Ze w czasie leżą, Octan miedzi błękitem tak je srodze skalał. Iż Pięć Stawów swój obraz narzuci puklerzom.

Na cmentarz duchów wozu szatani z chmur palnych Zstępując odwiedzają swych bliskich i placzą. Placzą to z burzyn i wiatru (wiatr wredny i halny).

Anieli, kiedy Oczy Ogniste nie patrzą, Organizacje swoje rzucają wysoko, By zeskalone padła nakryć choć obłokiem.

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

Bajka Grimma

A że klamią glasskugle Cyganek zobaczymy się znów w Bukowinie znów nad nami uschły przez rok ganek rozłożystą koronę rozwinię

Gór ogniska znowu zadymią rzeka Białka zacznie łąkę kosić by styl nadać wczasom w Bukowinie słońce w okno wpraw i dziewczęciost

A że sprawdzić zachcemy niechybnie czy w ortęci jesteśmy jak co rok ustawimy pod oknem piramidę ty — ja — (góraj) dzieci — pies i kot

Nie ma nas ktoś skradł nas do czysta tylko ścian wysuszone czerepy

nie zadymią góry smoliste ani muchy uderzą na lep

Kto to skradł nas i wraził do wacka bukowińskie to objawienie Kuruc drwał czy Maryna Ciulaćzka czy poeta kiosczkowy Bieniek

pytasz ty — pytam ja — dra się dzieci — burczy kot — ryczy pies — kląska kur Nie ma komu ognia gór nanieć nie zasyczą smolne karpy gór

Czy skradł Rusin co skacze przez Blyszcz po metryki i fajkę do Słowaków Ostromecki pani Dyszy pani Miś Może Czernik hafelior kierczaków

Zarechotał nów z wyżek przez nos rozcierając kopeć gwiazd na nosie — cysto piknie zbójczy skradłił wos *) a hetmanił im koślawy osiel ten koślawy głupi osiel hyziór Cos *)

Tedy pies kot i kur podjęli uchwałę

Słowniczek wyrazów obcych
Wos (cepeliowski) — was
Cos (cepeliowski) — czas



„SZCZENIĘCE LATA”

„Szczenięce lata” — jedna z pierwszych książek Melchiora Wańkowiaka. Jak wyznaje autor: „pisząc ją, uciekałem w kraj lat dziecinnych. Ukończywszy pisanie uląłem się demonstrować nicnieróbstwa, rozpuszczać obywateli...”. Do roku 1939 leżała „Szczenięce lata” w szufladzie. Potem przyszedł wielki sukces tej książki. W Polsce Ludowej wydano ją w roku 1957 — aktualnie jest (czy jest?), w księgarniach drugie wydanie. Tym razem masowe — 40 tysięcy egzemplarzy.

Ani głośnej książki, ani autora reklamować nie trzeba. Przypomnieć tylko może warto, że tę uroczą powieść sygnalizowano jako „niezrównany dokument obyczajowy i satyrę na szlachetność”, podkreślano, że pod wesołą formą, kryje się zamysłenie poszukiwania prawdy...

Sam Wańkowiak jednak spłatał komentatorom figla. „Szczenięce lata” pisałem ze szczerą tęsknotą do form tej kultury, z której poczęła się i na której podotąd trwa kultura polska” — wyznał w roku 1936.

Warto też dodać, że owa apologia szlacheckiej przeszłości wydał Wańkowiak jednocześnie z reportażami „Oplęziona rewolucja” — apologia rewolucyjnych zmian w Związku Radzieckim. Była w tej decyzji z lat trzydziestych nie tylko właściwą pisarzowi przekora, ale była w niej także zasada przyswajająca Wańkowiakowi zawsze — wielostronność spojrzenia na świat.

Po cóż zresztą komentować — „Szczenięce lata” trzeba przeczytać.

J. W.

Melchior Wańkowiak, „Szczenięce lata”. Czytelnik 1972. Cena 10 zł.

Od dawna młoda literatura w naszym kraju cieszy się szczególnym zainteresowaniem krytyki. Rzadko zdarza się, aby jakiś debiut książkowy, został przemilczany przez recenzentów. Wprawdzie minęły już czasy krytycznej specjalizacji, obnażania przez jednego autora propozycji ideowych i artystycznych tego samego, sygnalizującego dopiero swoje narodziny pokolenia (Błoński, Rogoziński, Sprusiński), ale coś z tamtego klimatu pozostało i debiut na ogół zostaje odnotowany przez czasopisma. Trudniej o omówienia sumaryczne, trudno o kartografę, który z tej powodzi mialkości, jaką rokrocznie przepuszczają przez się redakcyjne wydawnictwa, wykreśliłby kontury nowych propozycji twórców nazwanych przez mnie umownie „młodymi”. Debiut ludzi rzeczywiście młodych należy u nas w latach ostatnich do rzadkości. I można oczywiście pytać, jak uczyniłem to przed rokiem, czy jest to tylko proces starzenia się ludzi, czy literatury w ogóle. Sądzę, że nie znajdzie na to nikt, łącznie z Jarosławem Iwaszkiewiczem, odpowiedzi jednoznacznej i precyzyjnej.

Skoro zaś odpowiedzi nie ma, trzeba trzymać się faktów. Mam właśnie za sobą lekturę kilku książek pisarzy łódzkich, które umownie (dlaczego, u licha, recenzent zmuszony jest do tylu kompromisów?) nazywam debiutami. Łączy je data wydania i miejsce wydania, wszystko inne rozdziela. Jeśli więc nie można dokonać podsumowania roku w oparciu o podobieństwa, naszkicujmy przynajmniej różnice.

Oto „debiutant” nietypowy Bolesław Dudziński, ceniony recenzent i publicysta, który rozpoczął swoją działalność literacką jeszcze w r. 1913. Jego twórczość rozproszona po czasopiśmie, wśród których nie zabrakło tak poważnych tytułów jak przedwojenne „Wiadomości Literackie” czy powojenne „Odrodzenie”, dopiero teraz doczekała się pierwszego, książkowego utwora. „WOJENNE WĘDRÓWKI” czyli, jak głosi podtytuł „Ze wspomnień łodzianina; 1905—1918”, stanowią wycinek z biografii Dudzińskiego, którego życie trudno jest odłączyć od dziejów kultury robotniczego miasta. Szkoda więc, że motywy łódzki stanowi w tej książce w zasadzie tylko kłamek, bowiem w większości refleksje i wspomnienia dotyczą raczej wojennej tułaczki autora (choć oczywiście o I wojnę światową na przedpolu rosyjskiego frontu. Znajdziemy tam interesujący opis Kijowa i Moskwy w okresie przedrewolucyjnego fermentu, znajdziemy wreszcie obraz rewolucji lutowej i październikowej roku 1917, oglądanej oczami Polaka. Mimo osobistego charakteru tych zwierzeń Dudziński szeroko rysuje tło zdarzeń, których był uczestnikiem, a dokładność obserwacji wzbudza szacunek. Żalować więc należy, że otrzymaliśmy tylko wycinek autobiografii Dudzińskiego, gdyż jego wielkie doświadczenie życiowe i wiedza o Łodzi, zwłaszcza lat międzywojennych, predystynują go do sportretowania miasta w okresie II Rzeczypospolitej. Warto byłoby chyba także pomyśleć o wyborze krytyk Dudzińskiego z tamtego okresu aż po lata ostatnie, aby

także zasadnicze zainteresowania pisarza znalazły swoją książkową dokumentację.

Zapowiedziałem na samym wstępie, że w „młodej” łódzkiej literaturze roku ubiegłego trudno będzie o podobieństwa. Mam wszakże do odnotowania drugi debiut nietypowy, tym razem nie ze względu na wiek i zaawansowanie literackie autora, ile raczej ze względu na wartość dokonanej przez niego książkowej realizacji. Ryszard Binkowski, o nim to bowiem mowa, dobrze znany jest czytelnikom „Odgłosów” z reportaży i drobnych prób nowelistycznych. Powieść jego pt. „SYPALA BRZEZINA ZŁOTEM CZERWIENIA”, jest właśnie takim debiutem na granicy dokonania i

KONRAD FREJDLIH

WIZYTÓWKI I DOKONANIA

nie dziwny się, że wyróżniona została II nagrodą w konkursie na książkę o Ziemi Łódzkiej. Już dawno, przyznam się, nie natrafiłem na debiut tak dojrzawy, tak zalecający się doskonałemu opanowaniu techniki narracyjnej, a przecież nie tylko walory formalne stanowią o jego wartości.

Terytorium pisarskiej penetracji Binkowskiego stanowi współczesna wieś wraz z jej dramatycznymi przeobrażeniami cywilizacyjnymi; ta wieś, w której załamały się dawne, patriarchalne struktury, ale pozostała świadomość więzi z prastarym kultem ziemi oraz całym zespołem wartości ludzi „podglebia”, jak by to określił nie żyjący już Stanisław Czernik. Co prawda jest to określenie zaściankowe, gdyż Binkowski reprezentuje raczej Czechowiczowski model wyobraźni, a rustykalny pejzaż pod jego piórem nabiera poetyckiej niemal siły wyrazu. Nie tylko zna on wieś, o czym najlepiej dowodzi jego chłopski rodowód, ale też znalazł środki, aby nas o tym przekonaszczą prostą, w której przeświecają wszystkie barwy ziemi.

Więksim rodowodem legitymuje się także Stanisław Cieślak, który zadebiutował przed laty tomikiem wierszy „Prowincjonalne inspekcje”, obecnie zaś ogłasza swój pierwszy tom prozy pt. „PRAWA I LEWA”. Pochodzenie z rodu poetów w nieznacznym tylko stopniu odbiło się na opowiadaniach Cieślaka, w których przeważa powierzchniowa obserwacja obyczajowa. On także, podobnie jak Bin-

kowski ukazuje proces urbanizacji wsi, ale jest to zaledwie podobieństwo tematyki, nie zaś wrażliwości. Nie brak oczywiście w jego prozie także „podpatrzeń” celnych i świeżych, częściej jednak szuka on tematów do swojej prozy w rozprawkach socjologicznych niż w bezpośredniej obserwacji konfliktów, co najpełniej wydatnia się

w opowiadaniu tytułowym. Toteż tę pierwszą próbę Cieślaka wypada nam potraktować jako wizytówkę zapowiadającą dopiero prozatorskie możliwości tego autora.

Praktykę poetycką ma za sobą również Henryk Hartenberg, debiutujący obecnie w prozie tomikiem opowiadań pt. „SZYBKIE ŻYCIE” o charakterze otwarcie autobiograficznym, o czym świadczy choćby to, że narrator nosi najczęściej to samo imię, co autor. Opowiadania te stanowią dopełnienie wierszopisarskich realizacji Hartenberga i mają niekiedy cechy poetyckiego brulionu. Czasem są to w pełni ukształtowane miniatury, jak choćby nawiązujące do przeżyć z dzieciństwa „Widowisko” czy „Byłem złodziejem”. Ale mimo szkieletowości tych realizacji da się w nich uchwycić pewną wspólnotę wątków tematycznych i odczytane w całości ukazują nam nieoczekiwane osobowość człowieka „potrzaskanego” przez wojnę, której złośliwy wpływ rozciąga się także na czasy nam współczesne.

Mamy wreszcie do odnotowania kolejny debiut, a zarazem jedyną książkę poetycką pisarzy łódzkich wydaną w roku ubiegłym. Tomik „Z DRUGIEGO BRZEGU” Grzegorz Kościńskiego jest nareszcie debiutem typowym, z jakim najczęściej spotyka się recenzent. Nieśmiesznie w sobie wiele niedopowiedzianych zapowiedzi, wiele adaptacji stylistycznych (od klasyków po ubiegłoroocznych debiutantów), co niewątpliwie świadczy o technicznej sprawności próbującego

swoich sił autora. Rzadziej zdarzają się zapowiedzi własne, choćby mniej sprawne technicznie. Nawet dająca się wyłowić pewna obsesja moralna pochodzi nie tyle z drugiego brzegu, co z drugiej ręki. Zachowując więc wizytówkę poetycką Kościńskiego w recenzentkich szpargatach wypada nam poczekać do kolejnego spotkania z tym autorem, kiedy niewątpliwą kulturę literacką i sprawność techniczną potrafi on zaangażować do kreowania własnej wizji świata.

Dokonawszy tego przeglądu winniśmy czytelnikowi pewne wnioski, pewne podsumowania. Przyznaję, że wobec różnorodności materiału porównawczego nie jest to bynajmniej sprawą łatwą, toteż poszerzając nieco skalę, odwołam się do doświadczeń roku 1970. Był to bowiem rok rekordowy pod względem aktywności wydawniczej łódzkiego środowiska literackiego, a jednocześnie rok, w którym nie ukazał się ani jeden debiut sensu stricto. Obecnie mamy do odnotowania dwa rzeczywiste debiuty, ludzi stosunkowo młodych, co pozwala przypuszczać, że dokonywająca się stopniowo „zmiana warty” w łódzkim środowisku literackim jest procesem ciągłym i że bujny rozwój życia literackiego w Łodzi po wojnie procentować będzie poprzez kolejne realizacje ludzi, którzy dziś składają nam dopiero swoje pisarskie wizytówki.

P. S. Dla ujęcia całokształtu ruchu wydawniczego w łódzkim środowisku twórczym odnotujmy jeszcze debiut reporterski dziennikarza radłowego JANA BABIŃSKIEGO pt. „Noc w Socho” oraz książkowy debiut artysty-plastyka WACŁAWA KONDKA pt. „Słowa i obrazy”. Książki te oraz wszystkie tytuły omówione przeze mnie wyżej ukazały się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.



Przeszłość i terażniejszość

Niemal bezpośrednio po zakończeniu pierwszej wojny światowej poczęły powstawać w Niemczech wyspecjalizowane instytucje i organizacje naukowe, których zadaniem było obserwowanie i badanie, co działo się w życiu naukowym krajów niedawno wyzwolonych spod niemieckiego czy też austriackiego panowania. Wybitny polski historyk i prawnik Zygmunt Wojciechowski już w 1931 roku naliczył kilkanaście tego rodzaju instytucji. Po dojściu Hitlera do władzy liczba ich wzrosła w dwójnasób w ścisłym związku z rozwojem politycznych aspiracji do „niemieckiego Wschodu”. Znajdowały się wśród nich i takie, których zadaniem było prowadzenie wywiadu naukowego. Zajmował się nim utworzony jeszcze w 1927 roku w Gdańsku Ostlandsinstitut. „W r. 1932 — pisze wybitny polski historyk Gerard Labuda — naczelny dyrektor archiwów pruskich, Albert Brackmann,

powołał do życia najpierw organizację nazwaną skromnie Publikationsstelle, której zadaniem było przekładanie prac polskich i publikowanie ich w języku niemieckim wyłącznie do użytku wewnętrzznego, a następnie w r. 1933 z inspiracji nowych władz hitlerowskich — tajną organizację pod nazwą Nordostdeutsche Forschungsgemeinschaft (od r. 1935: Nord- und Ostdeutsche Forschungsgemeinschaft). Z Brackmannem współpracował Hermann Aubin, ówczesny profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, i Johannes Papritz, kierownik Publikationsstelle”. Ta ostatnia instytucja znacznie rozszerzyła zakres swojego działania i w czasach hitlerowskich, na długo przed wybuchem II Wojny Światowej, przystąpiła do opracowywania dokładnych spisów miejscowości i podziałów administracyjnych w Czechach, Polsce i na obszarze Związku Radzieckiego. Jednocześnie gromadziła

ona dla celów politycznych teksty wszystkich wypowiedzi polityków, uczonych, pisarzy itd. z tych krajów w ten czy inny sposób odnoszących się do stosunków z Niemcami. W tej szeroko zakrojonej akcji znaczna rola przypadła działaczom i uczonym niemieckim mieszkającym poza granicami Rzeszy, a w szczególności w

dół na listach tych znalazło się wielu uczonych poznańskich, bowiem tamtejszy ośrodek uniwersytecki już w okresie międzywojennym specjalizował się w problematyce niemożności. Natychmiast przystąpiono więc do aresztowań, które objęły licznych profesorów Uniwersytetu, z których wielu nie miało już

krótki okres czasu od 1 września do 22 listopada 1939 r. Uczony spisał je na gorąco, w oparciu o codzienne zapiski. Jest bardzo wątpliwe, czy później wracał do pamiętnikarskiego tekstu; wśród licznych naukowych zatrudnień nie starczyło mu na to czasu. Jego relacja posiada wszystkie cechy autentyczności i jest tym cenniejsza, że została sporządzona przez znakomitego historyka, w pełni świadomego obowiązków pamiętnikarza — źródłotwórcy.

K. Tymieniecki poświęcił w niej wiele miejsca dziejom swego aresztowania, przesłuchaniom w gestapo i pobytowi w więzieniu. Z przebiegu przesłuchań wywnioskował, że prowadzący ze sobą informacje o jego życiu i pracy. Nie zabrakło również denuncjacji ze strony studentów uniwersytetu narodowości niemieckiej, zawierającej informacje o przynależności Profesora do Związku Obrony Kresów Zachodnich (późniejszego Polskiego

Związku Zachodniego) i rzekomym szkanowaniu przezeń studentów niemieckich. W archiwum Instytutu Zachodniego w Poznaniu zachował się oryginalny protokół przesłuchania Profesora w gestapo z dnia 5 października oraz inne, dodatkowe materiały, które dziś pozwalają w pełni zrekonstruować bieg wydarzeń. W personalnym kwestionariuszu K. Tymienieckiego zwraca swoją uwagę następująco, jakże wymowne sformułowanie: „działal na rzecz narodu polskiego przeciw wszystkim, co niemieckie”. Nie trzeba dodawać, co słowa te w ówczesnych okolicznościach znaczyły.

Wspomnienia K. Tymienieckiego są nie tylko pamiętką po zmarłym w 1968 roku jednym z najwybitniejszych uczonych polskich. Są jednocześnie cennym, bogatym w szczegóły, informacją i obserwacją źródłem do dziejów 1939 roku, tym cenniejszym, że wyszły spod jego własnego pióra.

JÓZEF GRZELAK

Pamiętnik historyka

Polsce, Czechosłowacji i państwach bałtyckich. W ten sposób władze hitlerowskie sporządziły obszerne listy działaczy, uczonych, artystów z krajów, w stosunku do których planowały agresję, uznanych za „wrogów” narodu niemieckiego. Dysponowała nimi policja bezpieczeństwa, która wkroczyła na ziemię polską wraz z wojskami Hitlera we wrześniu 1939 roku.

Ze zrozumiałych wzglę-

doczekać końca wojny. W kilka dni po swym powrocie do Poznania, dnia 5 października 1939 roku aresztowany został także jeden z najwybitniejszych historyków polskich, profesor Uniwersytetu Poznańskiego od 1919 roku — Kazimierz Tymieniecki.

Wydane nakładem Ossolineum (1972) ze wstępem G. Labudy „Wspomnienia z jesieni 1939” K. Tymienieckiego obejmują stosunkowo

Niewspółmierność rosnących potrzeb urbanizacyjnych człowieka wobec niepełnych możliwości ich niezwłocznego zaspokojenia, rodzi dziś wiele trudnych problemów dla planistów i architektów. O grom następujących nieustannie zmian ludnościowych, technizacja życia i względna powszechność wychodzenia naprzeciw potrzebom konsumpcyjnym człowieka, zmuszają do szukania nowych dróg rozwijania budownictwa o standardzie bez porównania wyższym, niż jeszcze 50 lat temu.

nicznych. W praktyce wygłąda to najczęściej tak, że konkretna realizacja staje się wypadkową różnych koncepcji, metod, za którymi nierzadko stoją zmiany personalne wśród projektantów i zarządzających. Zamiast więc spójnych systemów architektonicznych powstają układy przypadkowe i niekonsekwentnie zrealizowane — to zaś powoduje nieuchronną konieczność dalszych kompromisów i zahamowań.

Dziś więc architektki i urbanisci poszukują różnych dróg, które umożliwiłyby

rych najczęściej przewijają się nazwiska Wujka, Lipskiego, Sadowskiego.

Na czym polega oryginalność metody łódzkiego zespołu? Sprawdza się ona właściwie do podkreślenia tych najmniej lubianych przez architektów elementów: prefabrykacji, powielania i normalizacji. Ale metoda ta bazuje jednocześnie na znacznej swobodzie w realizacji konkretnego obiektu lub zespołu obiektów. Osiągalne jest to dzięki dość szerokiemu stosowaniu elementów zmiennych, relatywizujących kształt ostateczny budowli. Elementy zmienne stanowią oczywiście komponentę dla elementów stałych, podlegających bezwzględnej realizacji zgodnie z założeniami technicznymi i użytkowymi.

Możność stosowania elementów zmiennych przewidują autorzy nie tylko dla samej struktury architektonicznej budynku, lecz i dla całych zespołów urbanistycznych. W znanych projektach osiedla Teofilów „C” architektki Lipski, Sadowski i Wujek opierają się na elementach stałych, tak banalnie prostych, jak typowy budynek mieszkalny, typowe pawilony handlowe, szkoły, przedszkola i żłobki. Sedno projektu tkwi jednak w dołowej kompozycji przestrzennej tych typowych budynków. W miarę pozyskiwania dalszych terenów, rozbudowujące się osiedle będzie w ten sposób zawsze stanowiło harmonijną całość.

Podobnie w projekcie centrum handlowo-usługowego Teofilowa „C” gdzie jako elementy stałe projektanci przyjęli system parkingów, zieleni, dojazdów gospodarczych, a jako elementy zmienne kształt funkcjonalny budynku, program użytkowy ośrodka, sposób zestawienia elementów małej architektury i wypełniania pól przeznaczonych na informację i reklamę handlową. Na tej zasadzie standardowa architektura uzyskuje nietypowy i różnorodny układ kompozycyjny całości. Zyskuje na tym tak dotąd szara zabudowa nowych osiedli, polepsza się struktura funkcjonalna i estetyczna. Ponieważ obydwie te projekty są realizowane, można będzie rychło przeszedź w naturze oryginalność metody twórczej zespołu.

Architektki związane z zespołem uczestniczyły w wielu konkursach międzynarodowych trzymając się konsekwentnie własnej metody, zarówno w przypadkach projektu ratusza w Amsterdamie (Z. Lipski, J. Wujek), projektu ambasady PRL w Brazylii (J. Wujek, Z. Lipski, J. Majewski) projektu Muzeum w Skopje (Z. Lipski, J. Wujek), projektu

domu kultury im. Marchlewskiego (Z. Lipski, J. Sadowski, J. Wujek), jak i ośrodka wczasowego w Muszynie (K. Greger, Z. Lipski, A. Owczarek, J. Wujek). W projektach tych konkretnych, jednostkowych obiektów, jako elementy zmienne, autorzy traktują dowolność wypełnień stref poziomych, a czasem i pionowych budynków. To zaś umożliwia rozbudowywanie i rozwijanie postawionych już obiektów w zależności od potrzeb, w sposób całkowicie harmonijny.

Metoda projektowa łódzkiego zespołu jest może ogólniejsza, romantyczna, jak tradycyjnemu łączy się z architekturą, jest może zbyt pragmatyczna, zbyt oszczędna. Może ona jednak spełnić niezwykle ważną i użyteczną rolę w procesie profilowania planistyki urbanistycznej dnia dzisiejszego. Pokazując sposób rozwiązywania zagadnień prefabrykowania architektury, metoda łódzkiego zespołu trafia — jak sądzę — w sedno uciążliwych potrzeb rozwijającego się społeczeństwa.

Przyzwyczajenie do projektowania takiej architektury, która nie pozostawia żadnej możliwości manewru w czasie realizacji, a już tym bardziej po jej zakończeniu, powodowało pewien zawrót wśród publiczności odwiedzającej wystawę projektów zespołu. Na wystawie tej nie było efektownych makiet i wizji rysunkowych przyszłości. Była natomiast wystawa ta technicznym wprowadzeniem w metodę oraz zaproszeniem do dyskusji i przemyśleń nad wizją mądrze rozumianej aglomeracji.

Twórcy nowej metody stykali się przy okazji różnych konkursów z zarzutami małej efektywności ich projektów oraz ogólnikowości architektonicznej konkretnych obiektów. Zarzuty te, stawiane z pozycji tradycyjnych, wynikały często z niezrozumienia zasady, jaką sformułowali łódzcy architektki. Być może zresztą zarzuty te są istotne ale w warunkach dostatecznego nasycenia najlepszą architekturą, w warunkach idealnych. Ponieważ jednak nie grozi nam to zupełnie, metoda zastosowana przez łódzki zespół jest ważnym i chyba cennym wkładem we współczesną myśl urbanistyczną. Nie jest ona, rzecz jasna, panaceum na wszystkie problemy związane z harmonijnym rozwojem miasta. Można się spierać, czy nie jest ona zbyt oszczędna, zbyt skromna. Ale wykorzystanie jej dziś zlikwiduje chyba dużą część trudności związanych z tworzeniem nowego, funkcjonalnego oblicza miasta.

1 TRIENNALE
TKANINY
PRZEMYSŁOWEJ
I UNIKATOWEJ
ŁÓDŹ — 1972



PREZENTUJEMY UCZESTNIKÓW

MONIKA KRECHOWICZ studiowała w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych malarstwo sztalugowe w pracowni prof. St. Borysowskiego i tkaninę artystyczną pod kierunkiem prof. J. Wnukowej. Początkowo jej zainteresowania twórcze skupiały się przede wszystkim na malarstwie, rysunku i grafice artystycznej. Z czasem jednak coraz więcej uwagi poświęca ona tkaninie artystycznej. Subtelna, a zarazem wyraża kolorystyka jej tkanin oparta na bogatych doświadczeniach wyniesionych z malarskiego warsztatu, czyni jej gobeliny tworem pełnym uroku i ciepła. Zarówno w malarstwie jak i w tkaninie Monika Krechowicz nigdy nie odeszła całkowicie od przedmiotu, pozwalając jednak sobie, zwłaszcza w tkaninie właśnie, na daleko idące deformacje. Istotną cechą jej gobelinów jest zgodność tradycyjnego warsztatu ze współczesnym, a jednocześnie własnym widzeniem plastycznym, które jest zresztą kontynuacją tych wszystkich problemów, jakie podejmowała artystyka w swoim malarstwie.



MONIKA KRECHOWICZ — „Matuzalem” (gobelin)

IGNACY GUSTAW ROMANOWSKI

Wyjście z impasu?

Co należy robić z punktu widzenia architektury — aby zapewnić harmonijny rozwój wielkich aglomeracji — i to w taki sposób, żeby można było jednocześnie wykorzystywać zastaną substancję budowlaną, a obok niej wznosić nową, która byłaby w stanie zaspokoić aktualne i przyszłe — w granicach 100 lat — potrzeby ludzkie? Dzisiejsza bowiem planistyka miejska nie może sobie pozwolić na błędy, które czas zweryfikuje ujemnie już za 50 lat, stwarzając jeszcze trudniejszy problem: co zrobić z technicznie dobrą zabudową, blokującą jednakże możliwość podjęcia szerszych i nieodzownych zamierzeń urbanistycznych i architektonicznych?

Problem ten o znaczeniu ogólniejszym, znany jest wystraszająco dobrze choćby w Łodzi, której najlepsza zabudowa wzniesiona przed 60—70 laty i tworząca kształt wielkiego śródmieścia, wiąże dziś ręce urbanistom w wytyczaniu generalnych kierunków rozwoju miasta.

Jest oczywiste, że względy ekonomiczne determinują czasokres realizacji koncepcji urbanistyczno-architekto-

wykonywanie spójnych, jednorodnych układów architektonicznych w każdych warunkach — bez względu na wysokość nakładów finansowych i czasokres realizacji. Przy czym — co odgrywa tu rolę najważniejszą — architektki muszą uwzględnić konieczność stosowania metody przemysłowej przy współczesnym projektowaniu.

Twórcy architektki nie lubią metody przemysłowej na wielką skalę traktując ją jako zło konieczne. Projekty bowiem, których założeniem w realizacji jest wykonawstwo przemysłowe, umożliwiają powielanie, szybko gubią nazwiska swoich autorów.

Interesującą próbą ominięcia tych trudności jest metoda projektowa zastosowana przez zespół architektów z łódzkiego „Miasoprojektu”: inż. inż. Krystynę Greger, Jakuba Wujka, Jerzego Sadowskiego, Zdzisława Lipskiego i Andrzeja Owczarka. O metodzie tej, stosowanej przez poszczególnych członków zespołu mówilo się już dość dawno. Dawno też pojawiały się w różnych konkursach i opracowaniach porównawczych projekty autorów z Łodzi, wśród któ-

dalej, też w dobie pierwszej wojny światowej, którą obaj przeżyli na terenie Rosji. Rewolucja rozdzieliła ich na pewien czas. W roku 1920 znaleźli się razem w wolnej

chańskiego Ameryka okazała się rzeczywistością ziemią obiecaną. Odnosił tam od razu wielkie sukcesy i związał się na zawsze z tym kontynentem. Szymanowski nato-

niem. Toteż mimo namowy ze strony żony i przyjaciół, nie zdecydował się nigdy na powrót do Europy, którą tylko od czasu do czasu odwiedzał. Serdeczne związki

stości jest to jednak korespondencja Szymanowskiego z Zofią Kochańską. Paweł Kochański wniósł w niej tylko nieznaczny udział.

Zofia Kochańska, z domu Kon, była kobietą niepospolitą. Choć pozbawiona zdolności twórczych była jednak naturą na wskroś artystyczną, żyjącą stale w świecie muzyki, którą zawsze głęboko odczuwała.

„Wczoraj byłam po raz pierwszy na koncercie — dyrygował Toscanini — III Brahmsa — Rossiniego L'italiana in Algeri” — pisze do Szymanowskiego z Nowego Jorku, 11. 10. 1929 — „Toscanini to jest niezrównany geniusz — cudownie wszystko brzmiało — jakaś niezrównana doskonałość. Muzyko! cóż bez ciebie na świecie począł! Ona daje poczucie nieskończoności i bezmiar, i naszej przynależności do całej symfonii świata. Ona odmyka to jakieś pudło, co naokoło nas jest zamknięte i tylko piękno się czuje wkoło. I ty nam to dajesz odczuć, najdroższy Karolku!”.

Kochańskiej obce było wszystko, co trąciło wulgarnością, wszystko co przyziemne i płaskie, a jedno-

Wydana niedawno przez

Polskie Wydawnictwo Muzyczne (Kraków 1971) korespondencja Karola Szymanowskiego z Pawłem i Zofią Kochańskimi przybliżyła nam znów postać wielkiego kompozytora. Korespondencję wydano pod tytułem „Dzieje przyjaźni”. Rzeczywiście Szymanowskiego łączyły niemal przez całe życie serdeczne więzy ze znakomitym skrzypkiem i jego żoną, a ich listy odkrywają wiele kart z życia twórcy „Harnasiów”, wiele spraw intymnych do tej pory w dużej części nieznanych.

Paweł Kochański był tzw. cudownym dzieckiem. Już jako siedmioletni chłopczyk, śmiały i nieporadny, z długim smyczkiem w ręce i w olbrzymich butach, budził zarówno wesołość, jak i podziw.

„Miał wyjątkowo silne palce, już bardzo dobrze wyćwiczone, smyczkiem władał ze swobodą wprost zastanawiającą. Co najciekawsze i interpretacja małego chłopca stała na wysokim poziomie” — pisze o nim jego „odkrywca” Emil Młynarski, który przywiózł go z

Odessy do Warszawy w roku 1897.

W roku 1901 poznał Kochański Szymanowskiego wówczas początkującego kompozytora i znajomość

ZDZISŁAW ŻYGULSKI

W kręgu Karola Szymanowskiego

przerodziła się niebawem w serdeczny związek przyjacielski. Obaj szli odtąd jedną drogą ku wielkiej twórczości artystycznej mającej im z czasem przynieść rozgłos światowy. W roku 1913 przeniósł się Kochański, razem ze swą żoną Zofią, do Petersburga. Kontakty z Szymanowskim trwały jednak

już w Warszawie. Klimat panujący w wyzwolonej stolicy Polski nie odpowiadał atoli ich górnym ambicjom, zdecydowali się tedy wyjechać i szukać szczęścia w Ameryce. Zamiar swój urzeczywistnili w styczniu 1921 roku. Towarzyszył im znakomity dyrygent, Grzegorz Fitelberg, „Fliciem” nazywany. Dla Ko-

miast doznał rozczarowania i po pewnym czasie powrócił do Polski. Pozycja Kochańskiego w Ameryce ugruntowała się szybko. W roku 1924 objął klasę skrzypiec w jednej z najwybitniejszych nowojorskich szkół muzycznych, a jego artystyczne tournée cieszyły się stale ogromnym powodze-

niem. Toteż mimo namowy ze strony żony i przyjaciół, nie zdecydował się nigdy na powrót do Europy, którą tylko od czasu do czasu odwiedzał. Serdeczne związki

stości jest to jednak korespondencja Szymanowskiego z Zofią Kochańską. Paweł Kochański wniósł w niej tylko nieznaczny udział.



Alicja Pawlak i Antoni Majak

Fot. J. Neugebauer

realnego z odrealnionym jakby, wyciszonym światem Cervantesa — Don Kichota. Koncepcja ta jest z pewnością uzasadniona, wydaje mi się jednak, że gdyby ingerencja choreografa w sceny zbiorowe była większa (jeżeli w ogóle była, co wydaje mi się wątpliwe), gdyby do tych scen wprowadzono więcej elementów ruchu tanecznego, nie straciłyby one na wymowie, natomiast zyskały na kulturze i estetyce wykonania, na-

A przecież Władysław Malczewski potrafił kreować przez siebie postaci nadać barwę wyciszonego liryzmu i filozoficznej zadumy w partiach Cervantesa i nie-realnego romantyzmu w partiach Don Kichota. Pięknie brzmiały songi przez niego wykonywane.

Trudne aktorsko, a i wokalnie, zadanie przypadło Alicji Pawlak jako Aldonzie — Dulcynei. Prócz pięknego, jak zwykle głosu, zaprezentowała ona dużą wrażliwość

aktorską. Po raz pierwszy zapewne przypadło jej w udziale grać dziewczynę pokroju Aldonzy, stąd być może, w konsekwentnie poprowadzonej roli, chwilami niewielkie przerysowania aktorskie, które dobrze stonowała w końcowej części przedstawienia.

Wydaje się, że Adam Duliński (Sanczo Pansa) wyzywa się powoli swej operetkowej manieri scenicznej, szkoda, że śpiewa swe songi zbyt pełnym, „operowym” głosem, podczas gdy wymagają one raczej lekkości i finezji wykonania. Nową kreację aktorską zaprezentował nam Romuald Szyłowski jako Padre, początkowo traktując ją z dużą dozą komizmu, w miarę narastania napięcia, coraz bardziej refleksyjnie, poważnie. Antoni Majak był doskonałym Szefem — Oberżystą. Wyważył on w swej kreacji bezbłędnie okrucieństwo, rozsądek i tzw. ludzkie uczucia — metamorfozę, która następowała wraz z rozwojem akcji. Ciekawą postacią dr Carasco stworzył Stanisław Heimberger, twardy i bezwzględny przedstawiciel świata ludzi „normalnych”. Mniej przekonujący był w tej roli Tadeusz Gawroński. W roli Antonii oglądaliśmy Jadwigę Mirecką i Izabellę Strzałkowską, w roli Gospodyni — Weronikę Kuźmińską i Jadwigę Stoczką. Trzeba też wspomnieć o ślicznie przez Kazimierza Orzechowskiego zaśpiewanej piosence „Płaszku piej”.

TERESA WOJCIECHOWSKA

Don Kichot z Broadwayu



brały też więcej cech przedstawienia o charakterze muzycznym.

Na szczególną uwagę zasługują rozwiązania inscenizacyjno-scenograficzne. Dla przygotowania projektu dekoracji zaproszono Ladislava Vychodila, słowackiego scenografa z Bratysławy. Zbudował on bardzo interesującą dekorację, umieszczając akcję w półokrągłym lochu wietrznym, zabudowanym drewnianymi rusztowaniami. W sposób niezwykle pomysłowy operowano skromnymi rekwizytami, które można było znaleźć w więzieniu, dla inscenizowania wizji Cervantesa, imitowania wnętrza oberży, kościoła, kuchni itd.

Choć „Człowiek z La Manczy” ma charakter widowiska, opiera się głównie na kilku postaciach czołowych, przede wszystkim Cervantesie — Don Kichocie i Aldonzie — Dulcynei. Przypadkiem, wszakże efektywnym, jest zewnętrzne podobieństwo (charakterystyczne oczywiście) Władysława Malczewskiego do Cervantesa, którego znamy z ilustracji. Artystę tego znamy jako wykonawcę wielu czołowych partii wielkiego repertuaru operowego, jako artystę typowo dramatycznego, o wielkiej sile ekspresji środków wyrazu, bogatym brzmieniu głosu. Można więc było się obawiać czy rola Człowieka z La Manczy będzie mu odpowiadać.

I wreszcie to, od czego należałoby zacząć: strona muzyczna. Dżansug Kachidze wystąpił tym razem w potrójnej roli — kierownika muzycznego, dyrygenta i aktora. W przedstawieniu tym bowiem orkiestra znajduje się na scenie i na scenie jest dyrygent, uczestniczący jednocześnie w akcji. Trudno właściwie powiedzieć, z której funkcji Dżansug Kachidze wywiązał się lepiej. Piękna muzyka Mitcha Leigha (w przeciwieństwie do librecistów kompozytor zadebiutował „Człowiekiem z La Manczy” jako autor muzyki) znalazła w kierowniku muzycznym znakomitego interpretatora, który wydobyl z niej to co najpiękniejsze i najważniejsze. Kachidze — dyrygent dał na scenie swego rodzaju popis. Gra jego rąk, gest, swoboda poruszania się, pełna uroku i poczucia humoru powaga, z jaką uczestniczył w przedstawieniu, dodały spektakłowi niemal blasku. Z pewnością w sukcesie łódzkiego „Człowieka z La Manczy” Dżansug Kachidze ma udział niemały.

A przedstawienie to jest sukcesem. Wykracza poza przeciętność, jest wydarzeniem artystycznym w życiu teatralnym miasta. I wszyscy dorosli melo- i teatromani powinni je zobaczyć.

*) MITCH LEIGH „Człowiek z La Manczy”. Libretto: D. WASSERMAN. Teksty piosenek: JOE DARION. Tekst polski: ANTONI MARIANOWICZ i JANUSZ MINKIEWICZ. Kierownictwo muzyczne: DŻANSUG KACHIDZE. Inszenizacja i reżyseria: ROMAN SYKALA. Scenografia: LADISLAW VYCHODIL. Choreografia: WITOLD BORKOWSKI. Kier. chóru: WŁODZIMIERZ POSPIECH. Teatr Wielki w Łodzi. Premiera 8 kwietnia 1972 r.

Przywykliśmy traktować amerykańskie musicale jako pozycje typowo rozrywkowe, w których blaha treść jest pretekstem do pokazania feerii światła i barw, wystawnych dekoracji, roznegliżowanego baletu. Aczkolwiek nasze mniemania wywodzą się raczej z filmów niż osobistych doświadczeń, nie są chyba pozabawione racji. Bo oto jeden ze współautorów „Człowieka z La Manczy”, Joe Darion, powiada: „Jeszcze w nie tak dawnej przeszłości taniec i piosenki na scenie były pretekstem do wystąpienia ładnych dziewcząt i miały głównie na celu oszobotwienie publiczności hałasem, w nadziei odwrócenia uwagi widzów od głupoty fabuły. We współczesnym musicalu — jak sądzę — muzyka i piosenki muszą być integralną częścią teatralnej całości”.

A więc w ojczyźnie musicalu — Ameryce, odchodzi się od tanich, a błyskotliwych efektów, sięga do treści głębszych, noszących wartości humanistyczne, przykładając przy tym więcej znaczenia do wartości artystycznych muzyki i jej roli w przedstawieniu. Takim dziełem jest właśnie „Człowiek z La Manczy”, którego prapremiera odbyła się w 1965 roku na Broadwayu. Libretto wyszło spod pióra dwóch doświadczonych autorów. Dale Wasserman, właściciel przedsiębiorstwa filmowego w Hollywood, autor prawie pięćdziesięciu scenariuszy filmowych i telewizyjnych (m.in. „Kleopatry”, typowego produktu machiny robiącej show-giganty i Joe Darion — autor tekstów piosenek, również librecista, są w tej dziedzinie fachowcami nieposłusznymi, znając prawa rynku rozrywkowego. A przecież potrafili stworzyć dzieło ambitne, nie ma-

jące nic z tanioci znamionującej na ogół bezbłędnie, ale powierzchownie działającą maszynę produkcyjną librett i scenariuszy.

W sposób dramaturgicznie bezbłędny potrafił Wasserman zbudować z historii życia Cervantesa i dziejów jego najpopularniejszego bohatera, spektakl nie „nużący, choć noszący bogaty ładunek filozoficzny, spektakl, który nie zwulgaryzował postaci i idei Don Kichota, spektakl głęboko humanistyczny, nie pozbawiony liryzmu, choć akcja jego toczy się w więzieniu, a bohaterami są rzeźmiejsi, bandyci i dziewczki.

„Człowiek z La Manczy” jest przedstawieniem trudnym i w odbiorze i w wykonaniu. W odbiorze, bo wyzbyty elementów łatwej rozrywki zmusza do myślenia i refleksji. W wykonaniu — bo przed wykonawcami stawia zadania na równi ważne — aktorskie i wokalne. W dodatku śpiewakom „operowym” nąstreczą „dodatkowe trudności wokalistyczne, songi to nie arie operowe, wymagają innego stylu wykonawczego.”

I choć łódzki Teatr Wielki nie jest pierwszą sceną operową, która to dzieło podjęła, decyzję poprzedziło wiele dyskusji i wahań — grać czy nie grać. Możemy się cieszyć, że wystawienie tej pozycji zostało zdecydowane. Jeśli nawet są jakieś niewielkie braki aktorskie, to wydaje mi się, że to, co osiągnięto nr. w zakresie dykcji, w sferze słowa mówionego, to prawie maksimum możliwości śpiewaków, którym kazano nagle być aktorami teatralnymi.

Inszenizacja i reżyseria Romana Sykaly poszła w kierunku stworzenia widowiska „mocnego”, operującego kontrastowym zderzeniem dwóch światów: brutalnego, halaśliwego i okrutnego świata

częście cechowała ją wielka życzliwość do ludzi, zdolność do kultywowania przyjaźni wiernej przez całe lata.

Jej stosunek do Szymanowskiego był niewątpliwie bardzo skomplikowany. Gdy się czyta jej listy gorące, serdeczne, można by od razu wysnuć wniosek, że była jego kochanką. Ież w tych listach tęsknoty, ileż czułości w zakończeniu niemal każdego!

„Mój najdroższy, ścisłam Cię najgoręcej. Boskiej opieki polecam — Twoja Zosia”. (21. 8. 1929).

„Boskiej opieki Cię polecam, najczulej Cię ścisłam. Kocham, tęsknię. Nie opuszczaj mnie, tak myśl Twa jest wciąż konieczna. Twoja Zosia. (12. 9. 1929).

„Ścisłam Cię, — kocham bez granic — Bogu polecam. Dziękuję za listki, kartkę, depesze. — Twoja Zosia”. (9. 1. 1933).

I tak dalej przy końcu każdego listu. — Sprawa wygląda pozornie jasno, nie mniej jasną nie jest Szymanowski nie ożenił się nigdy i jego stosunki z kobietami ograniczały się z reguły tylko do czysto towarzyskich.

Toteż i listy Szymanowskiego do przyjaciółki nie są bynajmniej tak przepojone uczuciem, jak jej listy. Oczywiście ton ich jest czuły, nazywa ją stale „Moje Złotko”, ale kończy stereotypowym „Ścisłam, jak kocham oboje”. Pisze obszernie szeroko relacjonując o swych sprawach, trudnościach, zablęgach, chorobach, wtajemnicza ją w swą sytuację, zwierza się jej z całą szczerością, szuka u niej rady, pomocy, pociechy.

Kochańska była przez całe lata istotą bardzo mu bliską, uczestniczyła żywo w jego sukcesach i porażkach, z daleka opiekowała się nim jak najczulej, wyjednała dla niego u swych bogatych amerykańskich przyjaciółek bardzo duże zapożyczenia pieniężne, umożliwiające mu jako taki byt w Polsce sanacyjnej i wspieranie swych najbliższych żyjących w trudnych warunkach materialnych.

Natomiast przyjaźń z Pawłem Kochańskim to przede wszystkim przyjaźń dwóch wielkich artystów. Kochański wywarł niewątpliwie duży wpływ na twórczość Szymanowskiego, co tenże nieraz podkreślał „Bo co tu ob-

wić w bawelne”. — pisał — „my z Pawłem stworzyliśmy w „Mitach” i „Koncercie” nowy styl. Nowy wyraz gry skrzypcowej, rzecz pod tym względem zupełnie epokową. Wszystkie utwory innych kompozytorów zblizające się do tego stylu — choćby oni byli najgenialniejsi — powstały później, tzn. albo pod bezpośrednim wpływem „Mitów” i „Koncertu”, albo przy bezpośrednim współdziałaniu Pawelka”. Ich przyjaźń była tedy „szczególnym przypadkiem artystycznej symbiozy”, — jak to słusznie stwierdza wydawczyni „Dziejów przyjaźni”, Teresa Chylińska. (l. c. str. 8).

Obu przyjaciół zadzielił jednak i pewne zasadnicze różnice. Kochański wychawszy z Polski stał się kosmopolitą, Szymanowski pozostał w kraju z „Ideą Polski” w sercu. Ta „Idea” objawiła mu się już w Rosji podczas rewolucji i jej poświęcił swą działalność. Mieszkając stale w Warszawie pragnął w zmienionych warunkach odnowić polskie życie muzyczne, tkwiąc — co tu ukrywać — od czasów Chopina, w żenującej nieraz

zaściankowości. Walka o tę „odnowę” nie była łatwa. Przeciw nowatorowi stanęli murem starsi a wpływowi muzycy, nie rozumiejący jego zamierzeń, nie chcący uznać jego twórczości, którą uważali za błędną i szkodliwą. W walce, jak to u nas bywa, nie wybierano w środkach. W czasopiśmie spytały się pod adresem Szymanowskiego obelgi i bezpodstawnie, krzywdzące go zarzuty. Mianowany dyrektorem Warszawskiego Konserwatorium przeprowadził w nim „czystkę”, usuwając starych, nieudolnych profesorów, czym zrobił sobie oczywście wielu zaciekłych wrogów. Te walki podkopały niewątpliwie i tak słabe zdrowie kompozytora zagrożonego gruźlicą, ale podrażniona ambicja kazała mu, przynajmniej czas jakiś, wytrwać na stanowisku.

„A więc chodzi tu nie o mnie” — pisze do Kochańskiej — o mój osobisty los, bo z tego punktu widzenia nie łatwiejszego jak dziś prosić o dymisję... Ale nie ulega wątpliwości, że ode mnie zależy dziś nie tylko pewna idea, ale i los całego szeregu wartościowych ludzi,

których wciągnąłem do walki o tę Ideę. Cięży dziś na mnie olbrzymia odpowiedzialność, nie mogę sobie pozwolić na żadną lekkomyślność”. (l. c. str. 204).

Obok tych przykrości trapiły Szymanowskiego i inne jeszcze, przede wszystkim zła sytuacja finansowa. Jako dyrektor Konserwatorium pobierał niewielkie uposażenie. Nie dano mu nawet obiecane mieszkania. I wtedy właśnie poproszyła mu z pomocą Kochańska zdobywając dlań w Ameryce znaczne, regularnie wypłacane fundusze.

W roku 1930 Konserwatorium Warszawskie podzieliło się na trzy niezależne od siebie instytucje: Wyższą Szkołę Muzyczną (Akademię), której rektorem został Szymanowski, Średnią Szkołę z muzykiem Eugeniuszem Morawskim, pupilem Szymanowskiego, jako dyrektorem oraz Seminarium Nauczycieli, którego kierownikiem został S. Kazuro. Morawski okazał się jednak w stosunku do swego protektora niewdzięcznikiem. Objąłszy dyrekturę Szkoły Średniej zorganizował przeciw Szymanowskiemu opozycję,

a dzięki swym wpływom w Ministerstwie Oświaty, do którego należał Departament Kultury, udało mu się doprowadzić do likwidacji Akademii, o czym nie poinformowano nawet jej rektora przebywającego właśnie w Zakopanem. Dotknięty tym do żywego Szymanowski podał się natychmiast do dymisji, która została przyjęta z dniem 1 maja 1932. W dwa lata później zmarł w Nowym Jorku Paweł Kochański na skutek raka wątroby. Jego śmierć była dla Szymanowskiego wstrząsającym ciosem. Także w stosunku do wiernej mu Zofii nastąpił kryzys. Jeden z jej ostatnich listów jest pełen gorzoty. (l. c. str. 376). Tak na tę długoletnią, piękną przyjaźń padł w końcu cień... Kochańska przeżyła Szymanowskiego o lat 22. Zmarła w Nowym Jorku, podobnie jak jej mąż, a zbiór listów przekazała przed śmiercią Muzeum Narodowemu w Warszawie. Obecnie znajdują się one w posiadaniu Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego i stanowią nader ważne źródło do poznania życia i działalności wielkiego muzyka.

MIECZYSLAW STOLARSKI

Z woleja

Sprawa Lasotówny

Jednym z problemów, które nurtują łódzkie środowisko sportowe jest częsty fakt emigracji wychowanych i wykształconych w naszym mieście świetnych sportowców do innych okręgów. Z reguły opinia publiczna wini władze sportowe miasta i działaczy za brak dostatecznej opieki i opieczętowanie w zapewnieniu wybijającym się zawodniczkom i zawodnikom odpowiednich warunków materialnych. Czy to ich wina? Odpowiedź na to pytanie powinni Czytelnicy znaleźć w poniższym materiale.

Ostatnio „Przegląd Sportowy” zamieścił niewielką notatkę ze zmiennym tytułem: Takiego „numeru” jeszcze nie było — niecodzienna „oferta” przedsiębiorczego instruktora. Wynikało z niej, że trener sekcji podnoszenia ciężarów MKS Zagłębie Lubin Edward Bączek rozesłał do czołowych polskich zawodników jednobrzmiące pismo — ofertę, w którym za przejście do Zagłębia obiecywał, poza świetnymi warunkami treningowymi, godziwą posaż-

ment zawodniczką ta przytaczała fakt podjęcia pracy w Kombinacie Górniczo-Hutniczym Miedzi w Lubinie.

Oto odpowiedź łódzkiego AZS z dn. 5 lutego br.:

„1. Zgodnie z prośbą koleżanki wyrażoną po ukończeniu studiów, AZS rozpoczął intensywne starania o uzyskanie stosownego miejsca pracy na terenie Łodzi. Dzięki pomocy udzielonej przez władze miasta starania te zostały zakończone z pozytywnym skutkiem. Z możliwości podjęcia pracy w Łodzi koleżanka jednak nie skorzystała.

2. Aby ułatwić przygotowania do startów w bieżącym sezonie ZG AZS włączył koleżankę do składu na międzynarodowy turniej tenisa stołowego w Wiedniu.

3. Celem poprawy warunków bytowych koleżanki w okresie przed podjęciem pracy przyznano koleżance zapomogę bezwrotną w kwocie 3 tys. zł.

Wszystkie te przedsięwzięcia w pełni przez koleżankę akceptowane do momentu złożenia podania o zwolnienie dalszych startów w barwach reprezentacji Łodzi i AZS. Uwzględniając omówione okoliczności podanie koleżanki o zwolnienie z sekcji z dn. 1 lutego jest dla nas nie do przyjęcia. Prosimy o ponowne rozważenie sprawy”.

Pismem z dn. 11 lutego br. A. Lasotówna prosiła swoją podtrzymuje.

Alleji Lasotównie proponowane cztery możliwości podjęcia pracy w Łodzi. Kilkakrotnie działacze molestowali pełnomocnika d. s. zatrudnienia przy PE, w celu uzyskania zgody na podjęcie przez te zawodniczkę pracy może niezbyt zgodnej z kierunkiem studiów, ale zapewniającej jej dobre warunki materialne nie przeszkadzające, a pomagające w dalszym rozwoju tej talentu. Dopóki w grę wchodził wyjazd do Austrii, A. Lasotówna przyjmowała proponowane jej warunki. Jednak po wrznięciu z Wiednia, miłość do Lubina wybuchła ze zdwojona siłą.

weh bohaterów zdarzeń, która pozwoliła na szybkie w końcu opanowanie sytuacji, jednak smutna refleksja i wątpliwość są uczuciami dominującymi w naszym spożyciu, nie tylko filmem. Nie tylko informację o tym, co dzieje się obecnie w Jugosławii, przynoszą groźne memento, stan zagrożenia istnieje stale, nie tylko wywołany straszliwym wirusem. I dlatego zapewne obraz izolatorium z „Zarazy” i sens rozmowy dwóch lekarzy o polskich tradycjach partyzanckich nie opuszcza nas szybko. Film Zaluskiego zakłada nasze poczucie bezpieczeństwa i każe myśleć nie tylko o służbie zdrowia.

Film „SERCE TO SAMOTNY MYSLIWIY” jest adaptacją znanej u nas powieści Carson McCullers, autorki należącej do czołówek współczesnych pisarzy

Jest taki klub w Polsce — Siarka Tarnobrzeg, który z dwóch zawodników łódzkich (Jalochówny z LKS i A. Domicza z Włókniarza) oraz dwóch wychowanków warszawskiej Spójni — Czochońskiego i Baranowskiego zbudował bardzo tanim (a może drożym?) kosztem zespół pierwszoligowy. Dlaczego Zagłębie Lubin ma być gorsze? Po co im wychowywać, szkolić i kształcić zawodników, jeśli można bez pracy osiągnąć cel, który kluby uczciwie pracujące zakładają sobie na kilka lat.

Bez trudu można tu sobie skojarzyć postępowanie trenera sekcji podnoszenia ciężarów i innych pseudodziałaczy z Lubina. Przyświeca im przykład Tarnobrzęskiej Siarki. Ciekawe do czego to wszystko doprowadzi?



OBIEKTYW

MONODRAM LUTOSŁAWSKIEJ

Monodram sprawdził się już wielokrotnie jako forma bardzo telewizyjna. Warunkiem, oczywiście, by wykonawstwo było na najwyższym poziomie. Slegam pamięć wstecz i przypominam sobie mistrzowskie widowiska z tego gatunku. Tadeusz Fijewski w „O szkodliwości palenia tytoniu”, wg Czechowa, Halina Gryglaszewska w „Eksperyment” Ryszarda Smozewskiego, Ryszard Filipki w „Co jest za tym murem?” Jacka Stwory, Jan Swiderski jako Marmeladow ze „Zbrodni i kary” Dostojewskiego...

Do tej galerii dołączam Annę Lutosławską-Jaworską w programie nadanym ostatnio przez Telewizję Wrocław („Zamienione głowy” wg Tomasza Manna; adaptacja, reżyseria i wykonanie — Anna Lutosławska-Jaworska; przekład — Walentyna Kwaśniakowa; reżyseria TV — Cezary Laglewski; scenografia — Michał Jędrzejewski; opracowanie muzyczne — Bogna Jaworska; Scena Monodram — 9. IV. 72). Aktorka wykonała ten monolog w 1970 roku na Festiwalu Teatrów Jednego Aktora w Szczecinie, zdobywając jedną z nagród. Obecnie mieliśmy możliwość obejrzenia jej w tej roli w wersji telewizyjnej.

Truizmem byłoby rozpoczynać od zapewnienia, że opowiadanie Tomasza Manna stanowiło znakomity materiał literacki dla aktorki. Tekst utrzymany w konwencji opowiadki filozoficznej, stylizowanej na wzór mądrości wschodnich, pozwolił Lutosławskiej skonstruować na naszych oczach małe arcydzieło, pełne finezji i filozoficznej zadumy.

Widowisko zaczyna się od „make-up” aktorki przed lustrem, naklejania sobie czarnej gwiazdki między brwiami u nasady czoła — znaczek ten noszą kobiety z kasty braminów — i przywdziania sari. W ten sposób Lutosławska przedstawia się jakby na naszych oczach w bohaterkę opowiadania, młodą mężatkę indyjską, Sita. Przelatca się, albo raczej przybliża się do tej roli, gdyż jednocześnie nie przestaje być narratorem.

Tak więc Lutosławska umieszcza się gdzieś na pół drogi między postacią uczestniczącą w opowiadaniu wydarzeniach a obiektywnym obserwatorem relacjonującym ich przebieg. Pozwala jej to dowolnie modulować przekaz tekstu i łatwo przechodzić od beznamiennej sprawozdawczości do pełnego zaangażowania i z powrotem. Daje możliwość skupić się na tekście bez przesłaniania go dosłownością inscenizacji.

Historia miłości Sity do dwóch mężczyzn jednocześnie: do męża Shridamana i do jego przyjaciela Nandy, znajduje w opowiadaniu T. Manna zaskakujące rozwiązanie. Oba przyjaciele, wierni sobie a jednocześnie kochający Sita, popielają samobójstwo, obcinając sobie ostrą szablą głowę. W rozmowie z Sita bógini daje jej szansę ożwielenia obu, ale Sita przez pomyłkę zamienia im głowy. Tak więc piękne ciało pasterki Nandy otrzymuje mądrą głowę kupca Shridamana, zaś głowa Nandy zespolona zostaje z nieco otyłym ciałem Shridamana.

Sita zyskuje szczęście? Przeciwnie to głowa decyduje o osobowości. Łączy się więc z mędrszą głową i piękniejszym ciałem. Cóż, kiedy nosi w sobie plód, który pochodzi od tego drugiego, brzydszego ciała. Sita miota się więc między dwiema miłościami tak samo jak to było przed zamianą głów, aż nastąpi jeszcze jedna metamorfoza: dostąpi tryb życia wpłynię na to, że ciało Shridamana roztyje się i zbrzydnie, zaś skromny żywot na łonie natury uczyni ciało Nandy pięknym.

Jakież to morał przekazuje nam Lutosławska w tej baśni-monodramie? Ze pełnia szczęścia jest niemożliwa? Ze natura ludzka pełna jest sprzeczności i wewnętrznych skłóceń? Z pewnością. Aktorka uzupełnia jednak te treści elementami kobiecości, jakąś głęboką prawdą o duszy kobiecej, której kondycja polega na tym, by kochać i cierpieć.

Gdy w końcowej części monodramu, wykonawczyni rozcharakteryzuje się i wraca jakby do codzienności, oddając się od Sity, czujemy, że nie się właściwie nie zmienia. Opada kostium — pozostaje kobieta.

Piękny był wieczór spędzony z Lutosławską — Sita.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

spektakle tygodnia

za okres od 3 do 9. IV. 1972 r.

TEATRY			
	liczba spektakli	liczba widzów	proc.
WIELKI			
„Orfeusz w piekle”	1	1018	80
„Madame Butterfly”	1	1260	100
„Aida”	1	1260	100
„Uprowadzenie z seraju”	2	2320	100
„Człowiek z La Mancy”	2	2320	100
NOWY			
„Zołnierz i bohater”	5	3500	100
„Prometeusz”	1	420	60
„Opowieści lasku wiedeńskiego”	2	1400	100
NOWY MAŁA SALA			
„Kocioł”	4	800	100
„Rodeo”	1	200	100
„Ofiary obowiązku”	1	150	75
POWSZECHNY			
„Perla”	3	1000	100
„Król Lear”	2	900	70
„Ojciec królowej”	1	660	100
„Królewskie polowanie na słońce”	1	450	70
JARACZA			
„Hamlet”	4	1645	80
„Placówka”	1	435	85
„Dwudziesta noc”	3	1544	100
„Kartofel”	2	673	65
„W pustyni i w puszczy”	1	541	100
7.15.			
„Trędowata”	5	2981	100
„Leztern”	2	798	95
OPERETKA			
„Kaper królewski”	7	5201	67
FILHARMONIA			
Koncertы symfoniczne	2	1000	70

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Geneza filmu Romana Zaluskiego „ZARAZA” sugerować może, iż utwór ten będzie próbą rekonstrukcji zdarzeń, które miały miejsce w Polsce latem 1963 roku. Mniemanie to wspiera fakt, że scenariusz filmu powstał w oparciu o dokumentalną powieść Jerzego Ambroziewicza, dziennikarza, który wcześniej opisał w cyklu reportaży przebieg wydarzeń i działania służby zdrowia w dnach walki z epidemią ospy, która pamiętnego lata wybuchła we Wrocławiu. Gdyby więc ocenić film Zaluskiego jako próbę paradokumentalnego opisu zdarzeń, mogliśmy „Zarazę” postawić wiele zasadniczych zarzutów, choćby tylko przez porównanie tego filmu z rzetelnością i dramatyzmem opracowań Ambroziewicza. Jako fabularyzowany dokument film różniłby zarówno pewną powierzchnością relacji, jak i zbyt niskim kielowaniem nie najlepszymi scenkami obyczajowymi.

Roman Zaluski zdobył się jednak na odwagę, która w przypadku tego filmu, a zwłaszcza jego wiodącego tematu, nie była rzeczą prostą. Dramatyczne zdarzenia z czasów epidemii potraktował jako pretekst dla rozrachunków z pewnymi typowymi dla polskiej społeczności wadami. Moment wybuchu epidemii, a więc sytuacji zaskoczenia ujawnia ujemne cechy naszej mentalności i społecznych mechanizmów działania, z których dumni być nie możemy. Materiałem dowodowym jest w tym filmie organizacja służby zdrowia, ale przede wszystkim postawy ludzkie, będące reakcją na ów stan zagrożenia. Postaw tych nie można łączyć jedynie ze środowiskiem zawodowym w „Zarazie” przede wszystkim eksponowanym. Nie jest to więc film o polskiej służbie zdrowia, choć ona stała w centrum zainteresowania, zdeterminowana te-



przypaść miano wielkiej polskiej umiejętności improwizacji i koncentracji wobec potrzeb chwili i sytuacji, wszystko to każe widzieć ten film jako gorzką satyrę, wychodzącą poza określone środowisko. Jest w niej miejsce na eksponowanie zarówno szlachetności i poświęcenia, jak i sprawności zawodo-

amerykańskich. Wobec powieści, jej adaptator, reżyser Robert Miller zachował pełną szacunku pokorę, selekcyjnie zalewając

EWA NURCZYŃSKA

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

„SEZON W PIEKLE”

22 maja 1891 r. przywieziono do szpitala w Marsylii mężczyznę o całkowicie siwych włosach. Wyglądał jakby miał lat sześćdziesiąt. W łóżku leżał tylko trzydzieści siedem. Przybył z Adenu z dziesięcioma tysiącami franków w złocie, zaszytymi w skórzanym pasie. Miał straszliwie zrakowaciałe kolano. Amputowano mu nogę. Zmarł w cztery miesiące później, nie zdając sobie sprawy z tego, że wokół jego osoby, życia i twórczości tworzy się już legenda.

Owym mężczyzną był Artur Rimbaud, a jego twórczość stała się jednym z najbogatszych i najwyszych źródeł poezji współczesnej na całym świecie, choć tworzył zaledwie kilka lat i przestał pisać nim zaczął dwudziesty rok życia.

O niezwykłym, pełnym przygód i samozniskienia życiu genialnego francuskiego poety został zrealizowany film. Ale nakręcił go nie Francuz, lecz Włoch. Tytuł zapożyczony z poematu Rimbauda „Sezon w piekle”, jest chyba

najtrafniejszym, jaki można było wymyślić.

Zygzorys Rimbauda, genialnego poety, a potem już tylko narkomana, alkoholika, handlarza kawą, skórami, bronią, niewolnikami, stanowią duży pokusę dla filmowców. Zamierzali nakręcić film Francuzi, ale uciekli ich Włoch. Czy film oddaje w pełni postać Rimbauda? Czy Rimbaud jest w tym filmie „prawdziwy”? Czy właściwie zrekonstruowano losy tego niezwykłego człowieka? Jego dramatyczna przyjaźń z Verlaine'em? Jego przygody w Abisynii? Już teraz można przewidzieć, że wokół filmowego „Sezonu w piekle” rozgorzeje dyskusja.

Tygodnik „Paris-Match” nazywał zachwytami przedświadczeniem próbę ukazania życia i postaci Rimbauda w ciągu półtoręgodziny filmowego seansu. Scenarzystką filmu jest Giovanna Gagliardo, reżyserem Nelo Risi. Film ukazuje Rimbauda od lat dziecięcych, kiedy to Artur chodził do szkoły, mieszkając w Charleville, Jego ojciec, kapitan piechoty opuścił nazbyt de-

spotyczną żonę. Artur początkowo uczył się dobrze. Umiął pisać ładne wierszyki łacińskie. Gdy miał lat czternaście jeden z takich wierszy posłał synowi Napoleona III z okazji uroczystości religijnych.

Ale nagie z Arturem Rimbaud coś się dziwnego dzieje. Ucieka z lekcji, wagaruje, zachowuje się ordynarnie, bezwstydnie zaczepia kobiety na ulicy, drwi sobie ze wszystkich i ze wszystkiego. Nie ma dla niego żadnej świętości. Buntuje się przeciw światu. Píše poematy. Ale są to niezwykle poematy. W ciągu następnych pięciu lat w swej twórczości literackiej Artur Rimbaud zrywa świadomie ze wszystkimi konwencjami — społecznymi, moralnymi, intelektualnymi. Chce zostać „jasnowidzami”, chce dotrzeć, łamiąc wszelkie konwencje, intuicją do Absolutu. Znaleźć kwintesencję życia. Chce przekształcić poezją świat.

Przyjaźnił się z Verlaine'em, który ściga go do Paryża, który ułatwia mu druk utworów, który jest nim zafascynowany. Ale Rimbaud gardzi przyjacielem. Wciąga go do narkomanii i alkoholizmu, z którego Verlaine nie wydobędzie się już nigdy. Dochodzi do sprzeczki dwóch przyjaciół. Pada strzał. To Verlaine rani lekko kula przyjaciela. Wkrótce kończy się ich przyjaźń z powodu brutalności, nieopanowania i wzgardy jaką Rimbaud żywił zawsze do Verlaine'a.

Mając lat dziewiętnaście Artur Rimbaud — porzuca poezję. Nigdy już do niej nie wrócił. Nic już nie napisał. Chciał przekształcić poezją świat. Chciał znaleźć nowy język poetycki, który przemawiałby bezpośrednio do duszy, który zawierałby „wszystko, zapach, dźwięki, barwy, myśl zaczepiającą o myśl i ciągnącą ją ku nowemu”. Nie znalazł. Wyjeżdża więc, by robić pieniądze. Wraca ze złotem i całkowicie zrujnowanym zdro-

wiem. Na trwałe pozostało po nim to, co napisał w swej wczesnej młodości: „Statek pijany”, „Złoty wiek”, „Chorągwie maja”, „Michał i Krystyna”, a zwłaszcza „Sezon w piekle” i „Iluminacje”. Nie przekształcił, jak tego chciał, świata. Za to gruntownie przekształcił poezję. Od Rimbauda począwszy, zaczęła się jej nowa epoka.

STATUA-GIGANT

Podczas archeologicznych prac wykopaliskowych w miejscu gdzie stał stary buddyjski klasztor w pobliżu miasta Kurhan-Tiube w Tadżyckiej SRR odnaleziono ogromną, bo dwunastometrowej wysokości, statuetkę Buddy. Rzeźba po odrestaurowaniu zostanie eksponowana w muzeum stolicy republiki — Duszambie.

NOWA GWIAZDA BALETU

Nadzieja Pawłowa ma 16 lat i jest uczennicą u ralskiego instytutu choreograficznego w Permie. Wywołała ona prawdziwą sensację sztukami swego tańca na Wszechzwiązkowym Konkursie Artystów Baletowych. Jury przyznało jej pierwszą nagrodę stwierdzając, że Pawłowa posiada niezwykły talent, i że w wysokim stopniu opanowała technikę tańca. Wróży się jej wielka przyszłość baletowa. Spośród mężczyzn pierwszą nagrodę otrzymał Aleksander Godunow z baletu Teatru Wielkiego w Moskwie.

JUBILEUSZ JERRY LEWISA

Jerry Lewis, najpopularniejszy współczesny komik amerykański, obchodzi jubileusz czterdziestoletniej pracy scenicznej i filmowej. Po raz pierwszy wystąpił na estradzie mając lat 5. Obecnie pierwszy raz będzie grał w filmie rolę niekomediową. Film zatytułowany „Dzień, w którym clown zaplał” nakręcony będzie w Sztokholmie i Paryżu.

„CZARODZIEJ GRUZIŃSKIEJ LIRY”

Pod takim tytułem radziecki magazyn „Sputnik” z kwietnia br. przy-

pomnił setną rocznicę urodzin jednego z największych muzyków i mości folkloru gruzińskie-



Zachary Palaszwilli

kompozytorów gruzińskich, jakim był Zachary Palaszwilli (zm. 1933). Jego nazwisko weszło na trwałe do historii muzyki gruzińskiej. Po Rewolucji 1917 roku staje się od razu aktywnym współtwórcą nowej kultury. Jemu też, jako pierwszemu spośród kompozytorów przyznano tytuł ludowego artysty republiki.

Twórczość Palaszwilliego, który urodził się w rodzinie muzyka narodowej szkoły gruzińskiej, wsparła była na wielkiej wie-

go. Umiął łączyć w swej twórczości bogate tradycje swego narodu z osiągnięciami i doświadczeniami innych, tak klasycznych muzyki rosyjskiej, jak i kompozytorów zachodnioeuropejskich. Przez kilka lat Palaszwilli pracował pod kierunkiem kompozytora i pedagoga, Siergieja Taniejewa w Moskiewskim Konserwatorium. Warto wspomnieć, że opera tego kompozytora będzie wystawiona w Łódzkim Teatrze Wielkim.

HAROUN TAZIEFF I WULKANY

Ten Belg, urodzony w Warszawie osiadł na stałe w sercu Paryża, w starym domostwie przy skwerze Bourbon. Opuścił ją dopiero wtedy, gdy ujadł się na spotkanie z diablem u jednego z piekielnych wrót, zwanych wulkanami — czytamy w „L'Humanite Dimanche”. Haroun Tazieff, agronom, geolog, geografik miał 34 lata gdy po raz pierwszy był bezpośrednim świadkiem wybuchu wulkanu. Od tego czasu datuje się ta jego pasja, która nigdy go nie

opuściła — poznawanie wulkanów i ciągła walka o zdobywanie kredytów na ekspedycje.

Ostatnio TV francuska nadała audycję o tym ciekawym człowieku, który nie waha się obserwować z bliska płynną lawę, nicz pod deszczem wyrzucanych przez wulkan kamieni. Jego dorobek naukowy ma dziś wielkie uznanie w całym świecie. Tazieff napisał wiele książek, nakręcił wiele naukowych filmów. Dochody z nich obraca na nowe ekspedycje wulkanologiczne.



Rimbaud i Verlaine (grają Terence Stamp i Jean Claude Brialy)



KSIĄŻKA DLA WSZYSTKICH

HASŁO MICKIEWICZA — WYSTAWA PWN — 1500 TYTUŁÓW — TRZY KSIĄŻKI KONIECZNE — MONOGRAFIE REGIONÓW — OD MONGOLII PO GRUZJĘ — KOPERNICANA — POMNIK LUDZIOM KSIĄŻKI

„Książka dla wszystkich” — takie hasło ogłosiło UNESCO w związku z Międzynarodowym Rokiem Książki. Dla nas, Polaków, to światowe zawołanie nie jest niezwykłym. Nasz wieszak narodowy, Adam Mickiewicz, w swoim perspektywnym planie czytelnicy dawno już temu mówił o „książkach wędrujących pod strzechy...”

Z okazji otwartej niedawno w Piotrkowie wystawy książek Państwowego Wydawnictwa Naukowego warto przypomnieć dorobek, działalność i plany tej oficyny wydawniczej, która także w Łodzi zaznacza swoją obecność szeregiem interesujących inicjatyw o łącz-

nym nakładzie prawie 4,5 mln egzemplarzy. Są to publikacje dydaktyczne (podręczniki, skrypty itp.), literatura naukowa, encyklopedie i słowniki oraz książki popularno- i informacyjno-naukowe. Zwłaszcza tym ostatnim warto z okazji Międzynarodowego Roku Książki poświęcić słów parę, bo właśnie one zasługują najbardziej na popularyzację w myśl hasła: „Książka dla wszystkich”. Takim przykładem nowej, niezmiernie pożytecznej dla najszerszych kręgów odbiorców publikacji jest „Leksykon PWN” — jedynotomowy słownik encyklopedyczny. Obejmuje on blisko 100 tysięcy haseł ze wszystkich dziedzin

wiedzy. Dla porównania powszechnie znana „Mała Encyklopedia Powszechna PWN” obejmuje około 30 tysięcy haseł. „Leksykon PWN” to wygodna, poręczna pomoc, rozstrzygająca trudności i wątpliwości, obszerny informator, zawierający hasła typu słownikowego, biograficzne, geograficzne, historyczne... Publikacja zapatrzona jest w tablice przeglądowe i barwne mapy — szata graficzna opracowana wyjątkowo starannie.

PWN-owska „trójca”: „Leksykon”, „Mały Słownik Języka Polskiego” oraz „Słownik Wyrazów Obcych” — oto książki, które znaleźć się powinny w każdym domu. Wydanie co prawda niemałe, ale też jest to inwestycja na lata całe.

Właściwie obracając się tylko w orbitie wydawniczej PWN można sobie skompletować biblioteczkę podstawowych książek, zapewniających sumę wiedzy i informacji o Polsce i świecie. „Biblioteka Wiedzy o Polsce Ludowej” obejmuje monografie województw i miast wydzielonych, ze szczególnym uwzględnieniem osiągnięć budownictwa socjalistycz-

nego w 25-lecie PRL. Ta seria, stanowiąca już zamkniętą całość, przeznaczona dla najszerszego kręgu odbiorców poszukujących informacji z życia swego regionu, miasta i kraju, zawiera 22 tomy. Przekraczając granice Polski — PWN oferuje nam obszernie monografie napisane przystępnie, uwzględniające także historię, życie i gospodarkę państw świata. W tej serii wydano już „Mongolia” B. Gungaadasza, „Niemiecką Republikę Demokratyczną” W. Walczaka, „Bułgarię” H. Maruszczaka, „Węgry” M. Peci i B. Szeffalvi oraz „Urals”. W druku znajduje się m. in. „Gruzja” — w planach wydawniczych szeregu dalszych pozycji z tej serii. Otrzymamy też w bieżącym roku obszerną, popularno-naukową monografię geograficzną „Polska”.

W związku z obchodami 500-lecia urodzin Mikołaja Kopernika PWN przygotowuje pierwsze zbiorowe wydanie pism wielkiego astronoma i humanisty — w wersjach językowych: łacińskiej, polskiej i angielskiej. Trzytomowa edycja obejmie prace astronomiczne, ekonomiczne,

pisma polityczne i korespondencje. Tom pierwszy, obejmujący — uwaga! rarytas bibliofilski — barwną reprodukcję rękopisu traktatu „De revolutionibus” otrzymamy w połowie roku — całość na początku roku przyszłego. Natomiast już dziś warto polecić uwagę czytelników popularną „Biblioteczkę Kopernikańską” — studia wybitnych historyków, astronomów, znawców zagadnień epoki, w której żył Kopernik...

Z okazji Międzynarodowego Roku Książki ukazuje się natomiast „Słownik Biograficzny Pracowników Książki Polskiej”, obejmujący życiorysy drukarzy, wydawców, kopistów, iluminatorów i ilustratorów, bibliofilów, bibliotekarzy, bibliologów — wszystkich, którym od średniowiecza książka polska zawdzięcza swój kształt, którzy byli jej miłośnikami i opiekunami, aż po czasy najnowsze. „Słownik” będzie pomnikiem wystawionym ludzkości. Tym, którzy nie potrafili o książce mówić inaczej, jak ze wzruszeniem i z entuzjazmem.

JERZY WIDOK

Bez strachu

JEST TAKI AUTOR...

Mówcie sobie, co chcecie, że mistyka, magia, mitologia i metapsychika i zgola czarzy, mówcie sobie, mówcie — pewnego dnia się sami przekonacie: jest taki autor, który pisze o konkretnych ludziach, o tak, z ulicy ich bierze, z domu, z roboty i do książki, do opowiadania na strony wkłada. Pakierstwo, jakby powiedział Irzykowski, uprawia... Ale nie w tym problem, tu dopiero poczatek problemu, rzecz polega na tym, o kim ten autor źle czy dobrze, pięknie czy brzydko napisze, ten źle, czy dobrze, pięknie czy brzydko umiera. Niewiele jeszcze o tym wie, niedługo pragnie, by ten Autor o nim pisał, ciśnie mu się przed oczy, bezwiednie do trumny wchodzi... Spotykam często tego Autora, gapi się na mnie — napisać o nim, czy nie napisać — myśli. Wtedy ja mu mówię, że ładna pogoda i o zdrowie jego i szanownej małżonki pytam. Potem jeszcze, że jeśli lubię, a pracować — nie, zaznaczam. On myśli: „To o takim durniu mam pisać?” i mija mnie, a ja sobie chodzę luzem żywy, a ludzie mądzy i ciekawymi mra pokotem, kiedy On o nich pisze. Tak jest na ulicy, w dzień, ale boję się w nocy — diabeł wie, a może przyjdzie i podejrzy, że ja syjam ciekawie, wtedy opiszę mnie śpiącego i przypadem, już się nawet nie obudzę. Dlatego wieczorem drzwi na klucze i skobele zamykam. Koło łóżka nudna książka kładę, pod mieszkańską koldrę się wsuwam, w szlafmycy syjam. Rano budzę się żywy, łapie długopis i piszę o Nim, zawsze o Nim, bo On ma tysiące twarzy, tysiące dusz. To dlatego zacząłem, kiedyś pisać książki w obronie własnej, a może ja Jego wpierw niż On mnie tym moim piśmieniem utrupię... On już wie o tym, też się broni, o pogodzie, o stanie zdrowia mi opowiada, a ja patrzę na Niego i oczami mu, że ciekawy, że do opisu i utrupienia przydatny — opowiadam. Biegniemy, każdy do swego domu, łapemy papier, maszyny i długopisy i piszemy jeden o drugim na śmierć i życie, a świat między nami przepływa z czasem w nieistnienie.

BERNARD SZTAJNERT



